



GAZETA

wyborcza.pl
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Poniedziałek, 15 listopada 2021 | Redaktor prowadzący Grzegorz Kubicki | Cena gazety 6,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 265.9849, 3 | Nakład 100 tys. + 260 tys. prenumerat cyfrowych

DUŻYFORMAT



16 GODZIN
PRACY
JEST OK?

Reportaż Oktawii Kromer

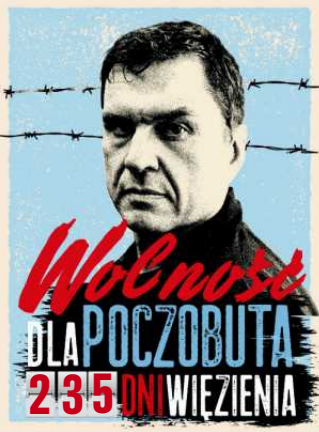
EKONOMIA+
DOBRA
ŻYWNOŚĆ
MUSI BYĆ
DROGA

Wywiad ► IV

Szczyt klimatyczny

Wymuszony
kompromis

Na szczycie klimatycznym COP26 w Glasgow udało się wypracować porozumienie. Ale nikt nie jest z niego zadowolony ► 4



Wydaje Agora SA, nr indeksu 348198



Reporterzy CNN i BBC nadają na żywo z Białorusi

Strefą w płot



Strefa stanu wyjątkowego – z zakazem wstępu dla dziennikarzy – miała dać rządowi PiS kontrolę nad medialnym przekazem. Efekt jest odwrotny: po polskiej stronie brakuje rzetelnych informacji, a Białoruś wzmacnia swoją narrację

Maciej Czarnecki

W piątek korespondent CNN Matthew Chance nadawał na żywo spod samej granicy, pokazując w tle ogniska i namioty migrantów. Opowiadał, że są w nich 2 tys. ludzi. „Powiedziano mi, że co najmniej 200 z nich to dzieci, niektóre bardzo małe, trzymane przez rodziców w ramionach” – dodawał.

Podobnie wyglądał materiał Steve’a Rosenberga z BBC, który też nadawał z białoruskiego obozu położonego nieopodal Kuźnicy Białostockiej. Nie były to materiały wprost krytyczne wobec Polski, ale jednak tworzyły proste wizualne skojarzenia. Białoruś: namioty, ogniska, koczujący ludzie. Polska: drut kolczasty, żołnierze, polewaczki.

Kłopoty na własne życzenie

„Co reporter CNN robi po białoruskiej stronie granicy?” – zapytał Chance’a na Twitterze jeden z użytkowników. Korespondent odpowiedział: „Polska nie pozwala reporterom nadawać z granicy po jej stronie”.

To prawda. 2 września prezydent Andrzej Duda wydał rozporządzenie o stanie wyjątkowym na terenie 183 miejscowości z województw podlaskiego i lubelskiego położonych przy granicy polsko-białoruskiej. Jedną z głównych restrykcji jest zakaz wstępu dla osób niemieszkających na terenie strefy i zakaz reporterskiego „utrwalania infrastruktury granicznej i funkcjonariuszy”. Oba oznaczają de facto zakaz pracy dziennikarzy przy granicy.

Media polskie i zagraniczne próbowały sobie radzić z tymi zakazami, czy to przedostając się do strefy, czy współpracując z mieszkańcami. Na pewno jednak nie było możliwości, by pokazywać sytuację z bliska, tak jak teraz jest to możliwe od strony białoruskiej. W teorii chronieni przez polskie przepisy funkcjonariusze i „infrastruktura graniczna” są i tak doskonale widoczni na materiałach zachodnich mediów.

Odpowiedzialni za bezpieczeństwo politycy PiS zdali sobie z tego sprawę. Mariusz Kamiński, szef MSWiA oraz koordynator służb specjalnych, zapowiedział w weekend, że wraz z końcem stanu wyjątkowego (pod koniec listopada) wjazd me-

diów będzie możliwy „po uzgodnieniu ze Strażą Graniczną”.

Mińsk udaje, że próbuje pomóc

Ryzyko jest takie, że znów będziemy z tymi działaniami spóźnieni.

Niezależny białoruski dziennikarz Tadeusz Giczar opublikował w sobotę nagranie, na którym widać, jak po białoruskiej stronie, nieopodal Kuźnicy, powstaje obóz dla migrantów. Białoruscy żołnierze i strażacy ścinają drzewa, ustawiają wojskowe namioty na zimę, uruchamiają generator prądu.

PR-owy sens tych działań także wydaje się jasny: Mińsk, który jest winny dramatowi migrantów, będzie pokazywał, jak próbuje im pomóc przeżyć zimne dni, gdy tymczasem Polska i Unia Europejska pozostają obojętne na krzywdę tysięcy ludzi. A my wciąż będziemy skazani na obserwowanie tego ze strony Białorusi. ●

• Polska blokuje dostęp mediów. Niepojęte i szkodliwe ► 2
• Aktywiści i naukowcy apelują o korytarz humanitarny na granicy ► 8

Materiały CNN i BBC tworzą proste wizualne skojarzenia. Białoruś: namioty, ogniska, koczujący ludzie. Polska: drut kolczasty, żołnierze, polewaczki

Łukasz Ostruszka

Wizerunkowe samobóje

Dzieje się rzecz przedziwna. Telewizje CNN i BBC, główne źródła informacji dla międzynarodowej opinii publicznej, nadają na żywo z koczowisk migrantów po białoruskiej stronie granicy. Zostały tam wpuszczone przez reżim Aleksandra Łukaszenki.

Białoruś umożliwia wolnym mediom ze świata relacjonowanie wywołanego przez siebie kryzysu humanitarnego, a Polska, czyli demokratyczny kraj UE, konsekwentnie blokuje dostęp mediom i organizacjom pomocowym do strefy przygranicznej. To niepojęte, szkodliwe i głupie.

Przepraszam za być może nieadekwatne porównanie, ale to tak, jakby bramkarz obrócił się twarzą w stronę bramki i raz za razem wkopywał do niej piłkę. Samobój za samobójem.

To dramat wizerunkowy. Dziennikarze zachodnich mediów nie rozumieją polskiej taktyki. A relacjonują konflikty zbrojne z różnych, najbardziej niebezpiecznych miejsc świata.

Tylko że tutaj nie chodzi o mało ważny wynik jakiegoś meczu, ale o życie ludzi, którzy stali się zakładnikami dyktatora. Nawet jeśli nie spełniają wymogów potrzebnych do ubiegania się o azyl, nawet jeśli nie wszyscy pasują do szablonu typowego uchodźcy, a tylko szukają lepszego miejsca do życia, należy im się pomoc humanitarna i ratunek.

Co można zrobić? Plan działania jest znany.

1. Dopuszczyć organizacje pomocowe do granicy i wesprzeć państwowymi środkami ich służbę. Tych bohaterów na granicy należy docenić, a nie przepędzać i piętnować.

2. Wpuścić akredytowane media krajowe i zagraniczne do strefy stanu wyjątkowego. Pokazać, że Polska nie ma nic do ukrycia.

3. Wspólnie z instytucjami UE i organizacjami pomocowymi otworzyć korytarze humanitarne ratujące życie. To nie wyraz

słabości wobec białoruskiego reżimu, ale wręcz przeciwnie – pokaz siły i możliwości. Osoby spełniające warunki azylowe należy przyjmować, reszcie zapewnić bezpieczną deportację do krajów, z których przybyli. Pomóc mogą m.in.: Frontex, Europol, EASO, Eurojust, który zapewnia współpracę w ramach wymiaru sprawiedliwości, oraz FRA (Agencja Praw Podstawowych UE).

4. Uderzyć międzynarodowymi sankcjami w Łukaszenkę i Putina. Zintensyfikować działalność dyplomatyczną na Bliskim Wschodzie i w Afryce. Przestrzegać ludzi przed tym szlakiem do Europy.

5. Zapewnić wsparcie tym funkcjonariuszom, którzy już teraz na własną rękę pomagają uchodźcom.

Sytuacja w każdym momencie może się wymknąć spod kontroli. Jeśli nie zareagujemy teraz, wydarzy się tragedia, o której znowu będziemy kiedyś mówili: „Jak to w ogóle było możliwe? Dlaczego ludzie na to pozwolili?”

Proszę wszystkich ludzi dobrej woli o działanie: posty, udostępnianie rzetelnych informacji, dyskusje w pracy lub wśród przyjaciół, otwieranie oczu, przedstawianie faktów, przekonywanie i pokazywanie.

CNN i BBC pokazują bestialstwo agresora Łukaszenki, ale także zauważają niehumanitarną politykę Polski. W materiale CNN, który ma przekazać zagranicznemu odbiorcy wszystko, co trzeba wiedzieć na temat kryzysu, czytamy m.in.: „Polski rząd zaostrza swoją nacjonalistyczną retorykę”. ●

Andrzej rysuje



Liban

W podskokach na metę



Uczestnicy półmaratonu (21 km) w ramach Międzynarodowego Maratonu w Bejrucie wbiegają na metę i cieszą się z zakończenia rywalizacji. Liban zorganizował imprezę po raz pierwszy po dwuletniej przerwie spowodowanej protestami oraz pandemią koronawirusa. **Więcej zdjęć i niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia**

Drogie korepetycje

50.57

ZŁOTEGO
Tyle średnio trzeba zapłacić za godzinę korepetycji z języka polskiego w Warszawie.

W innych miastach jest nieco taniej, np.:
w Krakowie – 43,80 zł;
w Gdańsku – 43,69;
Katowicach – 42,78;
a w Opolu – 40,31.

Jakie są ceny w przypadku innych przedmiotów ► I i VII Ekonomii+

Jutro dodatek specjalny cz. 2.



POWIKŁANIA W CUKRZYCY

Wiele osób z cukrzycą typu 2 przez długi czas nie jest świadomych, że choroba rozwija się w ich organizmie. W chwili diagnozy może się okazać, że wystąpiły już groźne powikłania. Nadmiar glukozy we krwi niszczy nerwy, wzrok, nerki i serce.

Wilbur Smith (1933-2021)
Król powieści przygodowej

To jeden z najpoczytniejszych pisarzy na świecie, autor m.in. takich książek, jak: „Gdy poluje lew”, „Monsun” i „Drapieżne ptaki”. – Piszę, bo chcę i muszę opowiadać historie, które według mnie są ważne. Robię to dla siebie, nie dla innych – mówił Wilbur Smith.

Od 1964 r. sprzedano na całym świecie ponad 140 mln egzemplarzy jego książek. A napisał ich 49. Był specjalistą od powieści przygodowych, pisał o XVII-wiecznych piratach, starożytnym Egipcie, afrykańskich dżunglach i II wojnie światowej.



FOT: EAST NEWS

Zadebiutował powieścią „Gdy poluje lew”, która odniosła wielki sukces i doczekała się kilkunastu kontynuacji. Smith często podkreślał w wywiadach, że debiutancka powieść wciąż jest jego ulubioną.

Jego książki były wielokrotnie ekranizowane, i to z doborową obsadą. W filmie „Złoto” z 1974 r. zagrał Roger Moore, który wystąpił także w innym filmie opartym na prozie Smitha – „Krzyknąć diabłu w twarz” (z Lee Marvinem).

Pisarz zmarł w sobotę w domu w Kapsztadzie w Południowej Afryce. ● **mg**

Mariuszowi Warychowi

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Taty

przekazują

Zarząd i pracownicy Banku BNP Paribas



www.niekrolg.wyborcza.pl/34137979

Mariuszowi Warychowi

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają

członkowie Rady Nadzorczej Banku BNP Paribas



www.niekrolg.wyborcza.pl/34137977



LADY-DATEJUST

Zegarek Lady-Datejust, który miał swoją premierę w 1957 roku, pozostaje symbolem ponadczasowej elegancji. Dzięki unikalnemu rozmiarowi 28 mm i wyrafinowanej mechanice olśniewa nie tylko klasycznym stylem.

#Perpetual



OYSTER PERPETUAL LADY-DATEJUST

W. KRUK
1 8 4 0

Anita Dmitruczuk
Mateusz Kokoszkiewicz

Najczęściej podkreślanym progresem porozumienia z Glasgow jest umieszczenie w nim wzmianki o paliwach kopalnych. Stało się to pierwszy raz od czasu podpisania protokołu z Kioto w 1997 roku. Wydobywanie i spalanie na potęgę węgla, ropy i gazu jest przyczyną globalnego ocieplenia.

Mimo tego faktu na zakończonej w sobotę 26. największej międzynarodowej konferencji klimatycznej świata w najlepsze trwała praca nad zmniejszaniem zapisów dotyczących paliw kopalnych (czemu patronowały zwłaszcza Australia, Rosja i Arabia Saudyjska).

Walka do ostatniej minuty

Pierwotna propozycja tekstu porozumienia zawierała wezwanie do porzucenia węgla i subsydiów dla paliw kopalnych. W wersji poddanej ostatecznej dyskusji była już mowa o „przyspieszeniu wysiłków na rzecz stopniowego wycofania” oraz odniesienie jedynie do „nieefektywnych subsydiów”, przy uznaniu jednocześnie potrzeby sprawiedliwej transformacji.

Mimo tego rozważenia umieszczenie w końcowym dokumencie wezwania do zerwania z subsydiowaniem paliw kopalnych skrzytkowali przedstawiciele m.in. Nigerii, Indii i Iranu.

Zdaniem ich delegatów paliwa kopalne są niezbędne, by dogonić w rozwoju najbogatsze państwa, których bogactwo wynika właśnie ze spalania paliw kopalnych, a zasada „one size fits all” (ang. – jedna miara dla każdego) nie może być stosowana.

W ostatnim momencie – już podczas formalnego przyjmowania porozumienia – Indie zaproponowały dalsze rozwińnięcie zapisu – by zmienić czasownik „phase out” (wycofać się) na „phase down” (zmniejszać skalę) w odniesieniu do węgla. Zaproponowały też uwzględnienie w zapisie o transformacji energetycznej enigmatycznych „warunków krajowych”.

To wywołało ostry protest Szwajcarii i Liechtensteinu, które podkreśliły, że zmiana jest rozczarowująca, a sposób, w jaki została wprowadzona – nietransparentny.

Z kolei przedstawiciel pacyficznego Fidżi podkreślił, że kiedy kraje globalnego Południa walczyły o ustanowienie funduszu na pokrycie szkód i strat, które już teraz powoduje w najbardziej ubogich krajach zmiana klimatu, mówiono im, że nie ma już mowy o majstrowaniu przy tekście. Tymczasem Indie wywróciły cały zapis o paliwach kopalnych już w trakcie przyjmowania porozumienia.

Frans Timmermans, reprezentujący UE zastępcą szefowej Komisji Europejskiej, stwierdził, że węgiel nie ma przyszłości oraz że nie jest dobrym wyborem ekonomicznym. Dodał też, że nie jest dla nikogo tajemnicą, że bogactwo Unii zostało zbudowane na węglu i jej koniec również może spowodować węgiel, dlatego porzucenie go jako źródła energii jest jednym z unijnych priorytetów.

Na koniec zapowiedział jednak, że nie sprzeciwi się propozycji Indii, by chronić resztę ustaleń porozumienia. O to samo zaapelował przewodniczący szczytu Alok Sharma, jednocześnie przepraszając za obrót sytuacji.

– Kryzys klimatyczny nigdy nie był tak pilnym wyzwaniem jak obecnie. Jednak tak zwani „światowi przywódcy” nie stanęli na wysokości zadania. COP26 stawia naszą przyszłość pod znakiem zapytania – uważa Dominika Lasota z Młodzieżowego Strajku Klimatycznego, również obecna na COP26.

Kiedy zamykaliśmy to wydanie „Wyborczej”, na oficjalnych kontaktach twitterowych premiera Mateusza Morawieckiego, minister klimatu Anny Moskwy, kancelarii premiera ani Ministerstwa Klimatu i Środowiska nie pojawił się żaden komentarz do ustaleń szczytu.

Porozumienie w sprawie rynków węglowych

Porozumieniem zakończyły się także negocjacje w sprawie artykułu 6 porozumienia paryskiego, który od pięciu lat pozbawiony był konkretnych przepisów wykonawczych.

Artykuł 6 dotyczy tzw. rynków węglowych. Zgodnie z tym mechanizmem jedne państwa będą mogły „sprzedawać” ograni-



• Obradom szczytu COP26 towarzyszyły liczne demonstracje domagające się zdecydowanych działań w obronie klimatu FOT. ALASTAIR GRANT / AP

Wymuszony kompromis

Na szczycie klimatycznym COP26 w Glasgow udało się wypracować porozumienie. Ale nikt nie jest z niego zadowolony.

czenia emisji (wynikające z realizacji konkretnych projektów, np. zalesiania) innym państwom, które nie spełniły zakładanych celów redukcji emisji.

Przyjęte w Glasgow zapisy służą temu, żeby projekty nie były dwa razy wliczane do redukcji emisji – tj. w jednym i w drugim państwie.

Sporną kwestią było m.in. to, czy rozliczane będą mogły być „stare” projekty z czasów porozumienia z Kioto (tzw. CDM), które w tym zakresie już nie obowiązują. Ich wartość jest wątpliwa, gdyż nie było nad nimi realnej kontroli. Główną zwolenniczką wliczania „kredytów zombie” w nowym systemie była Brazylia. Zdecydowanie sprzeciwiała się temu z kolei UE.

Unia twierdziła, że utrudni to ograniczenia emisji w przyszłości. Zaważył jednak głos USA, które poparły Brazylię, choć same częścią porozumienia z Kioto nie były.

Zgodnie z porozumieniem powstanie też specjalny Komitet Nadzorczy, który będzie wdrażał te przepisy. Komitet będzie składał się z 12 członków i ma co najmniej dwukrotnie spotkać się w przyszłym roku.

Do 1,5 stopnia daleka droga

Porozumienie z Glasgow przytacza też postanowienie porozumienia paryskiego o tym, by zahamować globalne ocieplenie maksymalnie na granicy 2 st. C, ale też dołożyć wysiłków, by było to 1,5 st. C. Dziś wiadomo już, że wzrost na poziomie 2 st. C byłby wyrokiem na część państw wyspiarskich, a nawet 1,5 st. C, choć może pozwolić nam uniknąć najbardziej dramatycznych skutków globalnego ocieplenia, to jednak nie wszystkich.

Do dziś temperatura wzrosła już w porównaniu z epoką przedindustrialną o 1,1 st. C, a biorąc pod uwagę wszystkie cele klimatyczne państw do 2030 r., zmierzamy w kierunku 2,4 st. C.

Z tego powodu w porozumieniu znalazły się zapisy m.in. o tym, że ONZ utworzy nowy program działań, tak by przyspieszyć redukcję emisji, i zda sprawozdanie z wyników na kolejnym szczycie klimatycznym. A kra-

je, które nie złożyły jeszcze swoich nowych zobowiązań klimatycznych, nakłania się, by zrobiły to do końca 2022 r. Od tego roku ONZ będzie też prowadziła coroczną ocenę planów klimatycznych.

Wiele państw deklarowało poparcie dla końcowych dokumentów szczytu w Glasgow, jednocześnie wyrażając swoje niezadowolone. Przedstawiciel Nowej Zelandii nazwał porozumienie „najmniej najgorszym” i podkreślił, że klimatowi nie służy dalsze „gadanie i przedłużanie”.

Rozczarowane Południe

UE i USA nie zgodziły się na ustanowienie systemowego funduszu dla krajów najbardziej wrażliwych na zmianę klimatu, tak by mogły uporać się ze skutkami zmiany klimatu. Jednocześnie porozumienie otwiera „dialog” w sprawie strat i szkód, który ma być kontynuowany na kolejnej konferencji klimatycznej w 2022 r. w Egipcie.

To spowodowało ogromną gorycz krajów globalnego Południa, które poparły jednak finalną treść porozumienia.

– Czy jesteśmy gotowi opuścić COP26 bez żadnego rezultatu? Nie odejdę z niczym. Końcowy tekst porozumienia nie zawiera wszystkiego, czego chcą wszyscy, ale zawiera ważne elementy, które będą służyły planecie. Przed nami ogromna praca, ale dziś tym, czego potrzebujemy, jest progres – mówiła przedstawicielka Wysp Marshalla.

W porozumieniu znalazła się jednak także zgoda na podwojenie pieniędzy na adaptację do zmiany klimatu opatrzoną konkretnymi datami (do 2025 r. w porównaniu z 2019). Do 2024 r. wszystkie kraje będą musiały też przekazywać szczegółowe dane dotyczące emisji.

Niestety fakt jest taki, że po przejściowym spadku w czasie epidemii koronawirusa emisje dwutlenku węgla znów odbiły. Zamiast zredukować emisje o niemal połowę do 2030 (żeby mieć szansę, by nie przekroczyć bariery 1,5 st. C), jesteśmy na dobrej drodze, by zwiększyć je przez dziesięć lat o ponad 13 proc. ●

COP26

Szczyt na miarę naszych możliwości

ONZ-owskie szczyty klimatyczne – obserwowane przeze mnie od kilkunastu lat tzw. COP-y – przypominają koszmary senne, w których grzęźnie się w błocie, bezowocnie próbuje się pobiec i ciągle gdzieś się spóźnia.

Dwutygodniowe obrady potrafią powalić najbardziej wytrzymałych negocjatorów (i obserwatorów!), a ich końcowe dokumenty – lawirujące pomiędzy interesami blisko 200 krajów i próbujące opatrzyć rozległe rany przykrótkimi plasterkami – zawsze rozczarowują.

Zawiódł nawet przełomowy COP21 w Paryżu w 2015 r. Podpisane wtedy porozumienie klimatyczne zakładało przyhamowanie globalnego ocieplenia do 1,5-2 st. C pod koniec XXI w. Świat miał osiągnąć ten cel dzięki dobrowolnym cięciom emisji gazów cieplarnianych, zadeklarowanym przez poszczególne państwa. Jednak klimatolodzy od razu obliczyli, że nawet jeśli uda się zrealizować wszystkie uroczyste podpisane obietnice, to Ziemię i tak czeka ok. 3 st. globalnego ocieplenia – a ludzkość i resztę przyrody olbrzymie zmiany klimatu i geografii (za sprawą podnoszącego się oceanu).

Kolejne szczyty klimatyczne próbowały więc podrasować państwowe zobowiązania dotyczące cięcia emisji – tak byśmy mieli szansę spełnić założenia porozumienia paryskiego.

Podczas COP26 w Glasgow udało się to na tyle, że do końca wieku globalne ocieplenie sięgnie ok. 2,4 st. – Jeśli, oczywiście, owe klimatyczne obietniczki zostaną wprowadzone w życie!

A przypomnijmy, że od rewolucji przemysłowej średnia temperatura Ziemi już podniosła się o blisko 1,1 st. C.

Skąd przepaść pomiędzy tym, co należy zrobić, a tym, co nam się udaje zrobić?

W fascynującej książce pt. „Przyjaciele” szkocki antropolog prof. Robin Dunbar pisze, że „ludzki świat społeczny jest być może najbardziej skomplikowanym zjawiskiem występującym w obserwowanym świecie, zdecydowanie bardziej skomplikowanym niż tajemnicze procesy, które tworzą gwiazdy i wyznaczają orbity planet”.

Innymi słowy kosmos układów między ludźmi bije na głowę misterium fizyki, której fundamentalna mechanika podtrzymuje wszystkie procesy rządzące Wszechświatem.

Fizyka zmian klimatu jest prosta – czym czajnik pełen gotującej się wody.

Jeśli nie zgasimy palnika, wrzątek bulznie na kuchenkę, być może zdmuchując nawet pokrywę czajnika.

Co jednak, jeśli wstawiliśmy ten czajnik na palnik wczoraj, a woda zagotuje się w nim być może dopiero jutro?

Biologia ludzkiej natury, a także psychologia społeczna nakazują nam martwić się tym, co już, a nie tym, co będzie kiedyś. Człowiek, jak pokazuje choćby historia najnowsza, nigdy nie był dobry w robieniu długoterminowych, logicznych i możliwych do zrealizowania planów. Stąd zwykle „ratuj się, kto może” w ostatniej chwili.

Być może więc pozostaje nam pogodzić się z tym, że kolejny szczyt klimatyczny – pierwszy, co za żart, który na piśmie zgodził się, że trzeba się wycofać z paliw kopalnych – to po prostu szczyt na miarę naszych możliwości. Choć w ostateczności żaden tryumf ludzkiej woli nie może przecież wygrać z prawami fizyki. ●

Tomasz Ulanowski



Z Facebookiem Europejczycy zbierają pieniądze.

Ludzie od zawsze pomagają sobie i wspierają się nawzajem. Facebook jeszcze bardziej ułatwił wspieranie ważnych inicjatyw dzięki cyfrowym narzędziom, takim jak zbiórki pieniędzy. Od momentu uruchomienia tej funkcji ponad 27 mln Europejczyków utworzyło lub wsparło finansowo zbiórki pieniędzy na Facebooku organizowane, by wesprzeć ważne dla nich cele.

W Portugalii 5-letni syn Carli jest chory na FOXP1, rzadką chorobę genetyczną wpływającą na mowę oraz zdolności poznawcze i motoryczne. Choć dostępne są różne formy leczenia i terapii, wymagają one sporych nakładów finansowych.

Żeby pomóc synowi, Carla postanowiła w 2020 r. utworzyć na Facebooku grupę o nazwie Vamos Ajudar o Diogo. Dzięki różnym inicjatywom jej członkom udało się zebrać pieniądze na leczenie. Nieustanne wsparcie tej społeczności pomogło Carli i jej synowi.

Z Facebookiem Europejczycy zbierają pieniądze.

Dowiedz się więcej na stronie about.fb.com/pl/europe

FACEBOOK



Prokuratura szuka zemsty

Polowanie na dziennika

Gangsterzy chcieli zapłacić „Wyborczej” i TVN 24 za publikacje kompromitujące poznańską prokuratorkę Agnieszkę Nowicką – twierdzi tajemniczy świadek. Zeznanie, które ma podważać wiarygodność i intencje dziennikarzy, prokuratura potraktowała poważnie.

Piotr Żytnicki

Dziennikarz nie powinien pisać o sobie, ale są sytuacje wyjątkowe, gdy tę regułę trzeba złamać. To jedna z nich.

Poznański adwokat, zastrzegając anonimowość, opowiada: – Dwa lata temu rozmawiałem z jednym z prokuratorów. To było po pana pierwszych tekstach o Nowickiej. Prokurator powiedział: „Na tego Żytnickiego też się coś znajdzie”. Wtedy nie potraktowałem tego serio.

Od trzech lat opisujemy w „Wyborczej” działania poznańskiej prokuratorki Agnieszki Nowickiej, jej układ z gangsterem „Ramzesem” i oskarżanie niewinnych ludzi, które kosztowało podatników już prawie 2 mln zł. Artykuły wzbudziły duże zainteresowanie czytelników, którzy szeroko je komentowali. Teraz prokuratura szuka zemsty.

„Ramzes” pod specjalną ochroną

Według naszych ustaleń prokuratura prowadzi śledztwo w sprawie tzw. poplecznictwa. Chodzi o utrudnianie lub udaremnianie postępowań karnych oraz pomaganie sprawcom przestępstw, by uniknęli odpowiedzialności. W trakcie śledztwa prokuratura uzyskała zeznania świadka incognito (jego tożsamość jest utajniona).

Świadek twierdzi, że słyszał rozmowę gangsterów, którzy planowali skorumpowanie dziennikarzy. Wymienia dwa nazwiska: Piotra Żytnickiego z „Gazety Wyborczej” i Michała Fui z „Superwizjera” TVN 24. Gangsterzy mieli ustalić, że każdemu z nas wręczą po 20 tys. zł za publikacje kompromitujące prokuratorkę Nowicką. Poznańska prokuratura potraktowała te zeznania poważnie. To małosłowna próba zemsty za krytyczne publikacje.

By zrozumieć, dlaczego prokuratura bierze na celownik dziennikarzy, trzeba cofnąć się do maja 2017 r. W poznańskim sądzie toczy się proces w sprawie tajemniczej śmierci młodej kobiety Ewy Tylman w centrum Poznania. Sąd ustala, że jeden ze świadków składa fałszywe zeznania. To Paweł P., ps. „Ramzes”, recydywista z półświatka. Prokuratura zgłosiła go na świadka, by ratować akt oskarżenia. Prokuratorę reprezentowała w sądzie Agnieszka Nowicka.

Sąd chce, by świadek odpowiedział za fałszywe zeznania, ale prokuratura się ociąga. Po roku nie ma nawet zarzutów. Mój informator z prokuratury mówi wtedy: – „Ramzes” jest pod specjalną ochroną prokuratury. Sprawdźcie, jak to się zaczęło.

Jak prokuratorka Nowicka pomogła gangsterowi

Informatorzy doprowadzają mnie do sprawy zgwałcenia w Poznaniu dwóch kobiet. Obie wskazały na „Ramzesa”, a psycholog uznał ich zeznania za wiarygodne. „Ramzes” dostał zarzuty, groziła

mu wieloletnia odsiadka, bo miał już wyrok za przestępstwa na tle seksualnym.

Wtedy do akcji wkroczyła prokuratorka Nowicka. „Ramzes” poszedł z nią na układ: obciążył zeznaniami czołowych gangsterów z poznańskiego półświatka, prokuratorka zaś wycofała zarzuty i umorzyła sprawę dwóch gwałtów.

Recydywista uniknął więzienia, a kariera prokuratorki przyspieszyła. Od tej pory „Ramzes” stał się jej etatowym świadkiem. Składał zeznania w wielu śledztwach, a prokuratura go chroniła. Sąd zdobył jednak dowód podważający wiarygodność „Ramzesa”. Potajemnie nagrany przyznał, że zmyślał zeznania i obciążył ludzi, bo kazali mu to robić policjanci i Nowicka. Dotarliśmy do tego nagrania.

Wyniki dziennikarskiego śledztwa opublikowaliśmy w lipcu 2018 r. Prokuratura Krajowa przeniosła sprawę „Ramzesa” do prokuratury w Zielonej Górze. Oskarżono go zarówno o zgwałcenie dwóch kobiet, jak i składanie fałszywych zeznań. Za gwałty z powodów proceduralnych nie odpowiedział. Za fałszywe zeznania sąd skazał go niedawno na dwa lata więzienia.

Pieniądze dla ofiar prokuratorki

Kłopoty ma też Nowicka, bo sądy zaczęły krytycznie oceniać rewelacje „Ramzesa”. Zapadają kolejne wyroki uniewinniające – gangsterzy są oczyszczani z zarzutów. Śledztwa Nowickiej przejmują inni prokuratorzy.

W kolejnych reportażach opisywałem ich historie. Wśród ofiar Nowickiej są strażnik więzienny Norbert Wróbel, były policjant Grzegorz Rogulski, drobni kryminaliści Dawid i Wojciech, szanowany przedsiębiorca Tomasz Jorka. Nowicka zatrzymywała ich na podstawie zmyślonych zeznań, które potem okazywały się nieprawdziwe. Cel uświęcał środki.

Po pierwszych publikacjach „Wyborczej” działaniami Nowickiej zainteresował się też Michał Fuja z „Superwizjera” TVN 24. Przygotował telewizyjny reportaż.

Nowicka próbowała kontratakować. Złożyła wniosek o zwolnienie mnie z tajemnicy dziennikarskiej, żeby poznać moich informatorów. Zaprotestowała Helsińska Fundacja Praw Człowieka. Sąd odrzucił wniosek Nowickiej.

Nowicka i jej przełożeni od trzech lat odmawiają rozmów z dziennikarzami. Nie przysłali nam sprostowania, nie wytoczyli procesu o ochronę dobrego imie-

• **Piotr Żytnicki, dziennikarz „Gazety Wyborczej”** FOT. ŁUKASZ CYNALIEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Michał Fuja, dziennikarz TVN** FOT. PIOTR MIZERSKI/TVN



nia. Boją się sądowej konfrontacji, podczas której musieliby odpowiedzieć na pytania.

Zaskakująca relacja świadka incognito

Pod koniec sierpnia tego roku kontaktuje się ze mną Sławomir F., ksywa „Melon”. Niegdyś trzymał się z bojówkarzami Lecha Poznań, handlował narkotykami, siedział w więzieniu. Teraz dzwoni z informacją, że przesłuchiwało go w Prokuraturze Okręgowej w Poznaniu.

Opowiada, że odczytano mu zeznania świadka incognito. Wynika z nich, że „Melon” kontaktował się z więzienią z innym gangsterem Markiem Festernem, ps. „Western”. Mieli uzgadniać przekazanie 20 tys. zł dziennikarzom „Wyborczej” i TVN 24 za publikacje uderzające w prokuratorkę Nowicką. Świadek twierdzi, że padły dwa nazwiska: Piotr Żytnicki i Michał Fuja.

Relacja świadka jest zaskakująca: z „Melonem” nigdy wcześniej nie rozmawiałem. „Western” spotykałem w sądzie przy okazji jego rozpraw. Żaden nie kontaktował się ze mną w sprawie Nowickiej.

Zdobyłem numer do „Western”, by zapytać, czy też był przesłuchiwany. Potwierdza, że prokuratura pytała go o zeznania świadka incognito. Dodaje, że choć nigdy nie rozmawia ze śledczymi, to tym razem zrobił wyjątek i wyśmiał rewelacje świadka o korumpowaniu dziennikarzy.

„Melon” i „Western” nie wypierają się kryminalnej przeszłości i lat spędzonych w więzieniu. Podkreślają, że mogą odpowiadać za swoje czyny, ale zapewniają, że nigdy nie rozmawiali o wręczaniu pieniędzy dziennikarzom. Przesłuchanie w prokuraturze odebrali jednoznacznie – jako szukanie haków nie na nich, lecz na dziennikarzy. Dlatego postanowili to ujawnić („Western” zgadza się też na publikację swojego nazwiska).

Prokuratura nie zaprzecza

Czy gangsterzy mówią prawdę? Rzecznik poznańskiej prokuratury Łukasz Wawrzyniak potwierdza, że prowadzone jest śledztwo w sprawie pomagania przestępcom. Nie wyjaśnia, kto miałby im pomagać i czy chodzi o dziennikarzy.

„Z uwagi na dobro tego postępowania i jego tajemnicę, prokuratura nie udziela żadnych informacji o jego przebiegu i poczynionych ustaleniach” – przekazał nam Wawrzyniak.

Prokuratura nie zaprzeczyła istnieniu świadka incognito, o którym opowiedzieli nam „Melon” i „Western”. Nie zaprzeczyła też, że świadek zeznał o rzekomym korumpowaniu dziennikarzy.

Prokuratura nie ujawniła nam, kim jest ten świadek, czy był wcześniej karany, czy siedzi w więzieniu lub areszcie,

rzy



Ministerstwo przygotowuje

Resort zdrowia drastycznie okroił listę drogich terapii, które mają być finansowane przez Fundusz Medyczny. A projekt budżetu na przyszły rok zakłada, że miliardy złotych, które miały pomóc najciężiej chorym, znów nie zostaną wykorzystane.

Judyta Watola

Fundusz Medyczny (FM) otrzymał w tym roku z budżetu państwa ponad 4 mld zł. Według planu finansowego miał wydać z tego 1,8 mld zł. Jednak – jak ujawniła „Wyborcza” – do września wydał tylko 171 mln zł. W przyszłym roku na konta Funduszu też mają wpłynąć 4 mld zł z budżetu. Projekt ustawy budżetowej zakłada jednak, że wydana zostanie tylko połowa tej kwoty.

– To oburzające. Jeszcze raz przekonujemy się, że całe to opowiadanie o Funduszu Medycznym i zwiększaniu wydatków na zdrowie to ściema – mówi Marek Wójcik, ekspert Związku Miast Polskich, który śledzi od miesięcy, co się dzieje z pieniędzmi FM.

• **Fundusz miał finansować leczenie ciężko chorych dzieci, zwłaszcza dotkniętych chorobami rzadkimi. Miał finansować najdroższe terapie, a także programy profilaktyczne i modernizację szpitali**

FOT. SHUTTERSTOCK



Kancelaria Prezydenta nadal udaje

Fundusz miał finansować leczenie ciężko chorych dzieci, zwłaszcza dotkniętych chorobami rzadkimi. Miał finansować najdroższe terapie, a także programy profilaktyczne i modernizację szpitali. Tak przedstawiał to w wywiadzie dla PAP 7 marca 2020 roku prezydent Andrzej Duda. Podkreślał przy tym, że Fundusz to jego inicjatywa. Od połowy października wiadomo, że to niepraw-

da. Ujawnione przez portal Poufnarozmowa.com maile ze skrzynki ministra Michała Dworczyka pokazują, że inicjatywa była po stronie rządu.

To premier napisał do szefa PAP, by „dał jakiegoś sprytnego dziennikarza”. „Narracja jest gotowa, tylko trzeba to wszystko ładnie ująć i poprzecinać pytaniami” – pisał Morawiecki. Wywiad miał przykryć złe wrażenie,

jakie powstało po tym, jak Duda 6 marca podpisał ustawę umożliwiającą wypłatę mediom narodowym prawie 2 mld zł. Opozycja chciała, by te pieniądze przeznaczyć na onkologię.

Ale Kancelaria Prezydenta zachowuje się tak, jakby ujawnionych maili w ogóle nie było. 10 października zapytaliśmy, jak prezydent ocenia to, że z ponad 4 mld na koncie Funduszu Medycznego wydano tylko

171 mln zł. Odpowiedź przyszła już po ujawnieniu maili ze skrzynki Dworczyka. „Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej jako inicjator utworzenia Funduszu Medycznego jest informowany o bieżących działaniach prowadzonych przez dysponentów środków Funduszu, tj. Ministra Zdrowia i, pośrednio, Prezesa Narodowego Funduszu Zdrowia” – pisze Kancelaria.

Korytarz humanitarny niezbędny od zaraz

Dziewięcioletni niepełnosprawny Taman jechał z rodzicami i rodzeństwem do Niemiec po opiekę medyczną. Utknął na granicy polsko-białoruskiej.

Zdjęcia chłopca bez nóg w obozowisku migrantów na polsko-białoruskiej granicy opublikowała w mediach społecznościowych za zgodą jego krewnych prof. Joanna Bocheńska z Instytutu Orientalistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Rodzina – dziewięcioletni Taman, jego ojciec Sangar, matka Kanar, sześciomiesięczna siostra Tania i 11-letni brat Haryad – utknęła na granicy bez możliwości powrotu, z jedzeniem dostarczonym raz dziennie.

Na jednym ze zdjęć widać, że ojciec rodziny Sangar zbudował wokół namiotu prowizoryczne ogrodzenie, szalas z gałęzi. Na innych – że część migrantów śpi na gołej ziemi. O poranku wszystko pokryte jest szronem.

Ratujmy życie Tamana

Przez komunikator rozmawiamy z Jwamerem Quadirem, wujkiem Sangara. Został w Iraku, nie zdecydował się na ucieczkę. – Proszę, uratujcie życie Tamana – mówi. W walce z ISIS stracił obie nogi. Dlatego rozumie sytuację chłopczyka, który urodził się z niewykształconymi kończynami. – Życie osoby niepełnosprawnej w Iraku jest bardzo trudne. Brakuje rehabilitacji, dobrych protez, dróg, są bariery architektoniczne, a konserwatywne społeczeństwo nie



jest do nas dobrze nastawione – tłumaczy Jwamer. – To dla Tamana rodzice tak bardzo starali się o wyjazd do Niemiec. Wizy nie dostali, a teraz utknęli na granicy z Unią Europejską.

Prof. Bocheńska w opublikowanym poście pyta, co zrobilibyśmy na miejscu rodziców Tamana. – Proszę, pomyślcie o Tamanie i wielu innych dzieciach. Czy nie myślicie, że to są po prostu nasze dzieci, a nie „narzędzia” białoruskiego reżimu?

Pracownia Studiów Kurdyjskich UJ wezwała polskie i europejskie władze, aby nie lekcewały rozgrywającej się na granicy tragedii. Aktywiści praw człowieka apelują o utworzenie korytarzy humanitarnych.

W sobotę pod granicę przyjechała Żaklin Nastić, ekspertka ds. praw człowieka, posłanka do Bundestagu z Hamburga, przewodnicząca partii Die Linke w tym mieście. Jej rodzina wyemigrowała z Gdyni, gdy miała 10 lat.

• **Rodzina Tamana utknęła na granicy bez możliwości powrotu. Na jednym ze zdjęć widać, że ojciec rodziny Sangar zbudował wokół namiotu prowizoryczne ogrodzenie z gałęzi**

FOT. LEONID SHCHEGLOV / AP

Jestem tu po to, żeby umiędzynarodowić problem, żeby politycy o nim rozmawiali. Budowa murów nie jest rozwiązaniem, bo co na końcu zostanie – strzelanie do dzieci?

ŻAKLIN NASTIĆ

posłanka do Bundestagu

W irackim Kurdystanie była dwa razy z pomocą dla organizacji humanitarnych opiekujących się m.in. chorymi, niepełnosprawnymi dziećmi, okaleczonymi przez bomby, odłamki, miny. – Jestem tu po to, żeby umiędzynarodowić problem, żeby politycy o nim rozmawiali i znaleźli międzynarodowe rozwiązania. Budowa murów nie jest rozwiązaniem, bo co na końcu zostanie – strzelanie do dzieci?

A już nie jako polityczka, ale mama córki na wózku inwalidzkim, dodaje: – Żeby takim dzieciom nie pomóc, to aż wstyd!

Atak na medyków

Kryzys przy granicy pochłania kolejne ofiary. W lasach niedaleko granicy polsko-białoruskiej odnaleziono zwłoki około 20-letniego Syryjczyka. Jak poinformowała podlaska policja, czynności przeprowadzone na miejscu nie pozwoliły na jednoznaczne ustalenie przyczyny śmierci. Wcześniej, według oficjalnych danych, doszło do co najmniej dziesięciu zgonów po obu stronach granicy. Po stronie polskiej odnaleziono siedem ciał.

Niespokojna była sobotnio-niedzielną noc w południowej części woj. podlaskiego. Do siłowego przekroczenia granicy doszło w gminie Dubicze Cerkiewne. Z kolei w gminie Nurzec mundurowi zostali obrzuceni kamieniami. Lekko ranny został jeden z policjantów.

Tej samej nocy nieznanymi sprawcami uszkodzili pięć samochodów osobowych należących do dyżurujących

nieopodal granicy lekarzy i ratowników z grupy Medycy na granicy. Przebito opony, wybito szyby, rozbito lampy i zniszczono karoserię.

Szansa dla Syryjczyków

Są też dobre wiadomości z pogranicza. Pięciu Syryjczyków, o których pisaliśmy w białostockim wydaniu „Wyborczej”, jest już bezpiecznych. Z Syrii uciekli przed wojną: do wyboru mieli: albo zabijać, albo zostać zabitym. Na Białoruś – z Polski lub z Litwy – puszbekowani byli kilkakrotnie.

Marysia Złonkiewicz z inicjatywy Chlebem i Solą działająca w Grupie Granica opowiada, że uchodźcy byli przepychani przez białoruskich pograniczników na Litwę, mimo że nie chcieli się tam znaleźć. Byli bici, wrzucani do granicznej rzeki, grożono im, że jeśli nie przejdą na litewską stronę, zostaną zastrzeleń. Dopiero gdy wrócili na Białoruś i przewieziono ich w okolice Białowieży, udało im się ponownie przekroczyć granicę z Polską i skontaktować z aktywistami. Ci, dobrze już znając sytuację Syryjczyków, wystarali się o interim ze Strasburga.

W niedzielę, 7 listopada, spotkali się z całą piątką w lesie w okolicy Hajnówki. Z aktywistami byli Katarzyna Błażejewska-Stuhr i Maciej Stuhr, którzy zostali pełnomocnikami uchodźców.

Dziś Syryjczycy są już w jednym z ośrodków na terenie woj. podlaskiego. Czekają na wszczęcie procedury azylowej. ● **Joanna Klimowicz, Maciej Chołodowski**

powtórkę katastrofy

Dalej przypomina, co było celem, „jaki Pan Prezydent stawiał przed Funduszem”, czyli leczenie chorób rzadkich, szczególnie u dzieci, oraz leczenie za granicą. Twierdzi, że „powstały ramy” do realizacji tych celów, a teraz „konieczne jest dotarcie do możliwie szerokiej grupy osób i to nie tylko osób chorych i ich bliskich, ale także realizatorów świadczeń zdrowotnych z informacją o możliwościach, jakie daje Fundusz oraz procedurach, które należy przeprowadzić, aby skutecznie wykorzystywać te możliwości”.

Według lekarzy, z którymi rozmawialiśmy, to twierdzenia kompletnie oderwane od rzeczywistości. Fundusz nie daje w tej chwili żadnych nowych możliwości. Finansuje tylko to, co było już finansowane wcześniej bezpośrednio przez NFZ.

Ratowania wzroku nie będzie

Mogło być inaczej. Zgodnie z ustawą o Funduszu Medycznym ma on finansować bardzo drogie leczenie, którego nie ma w katalogu świadczeń refundowanych przez NFZ. Listę takich terapii o wysokiej skuteczności klinicznej opracowywała Agencja Oceny Technologii Medycznych. Było na niej 35 pozycji, ale w kilku przypadkach chodziło o te same technologie, tyle że stosowane w różnych chorobach. AOTMiT przedstawiła tę listę pod koniec sierpnia, w ostatnim możliwym terminie. Gdyby zrobiła to później, byłoby to niezgodne z ustawą o Funduszu.

Na liście zaopiniowanej przez Rzecznika Praw Pacjenta nie było już powtórzeń. Znalazło się na niej 21 pozycji. Tymczasem lista opublikowana przez Ministerstwo Zdrowia zawiera ich tylko 14. Wypadły z niej między

innymi dwie terapie ratujące wzrok. Pierwsza to terapia genowa dla dzieci i dorosłych zagrożonych utratą wzroku z powodu dziedzicznej dystrofii siatkówki spowodowanej. Druga to jedyna jak dotąd oficjalnie zarejestrowana terapia z użyciem namnażanych w laboratorium komórek macierzystych rąb-

ka rogówki. Ta terapia kosztuje ok. 45 tys. zł, a więc dużo mniej niż wiele leków finansowanych już przez NFZ, których koszt dla jednego chorego przekracza nieraz milion złotych na rok.

Dlaczego te terapie wypadły z listy? „Lista opublikowana przez Ministra Zdrowia uwzględnia tak istotne elementy jak kwestie ochrony patentowej i okresów wynikających z dodatkowych świadectw ochronnych. Trzeba też wskazać, że kilka leków, które widniały na wyjściowym wykazie AOTMiT zostały objęte refundacją w „normalnym” trybie ustawy o refundacji” – odpisało nam Biuro Komunikacji MZ i wymieniło dwie terapie, które objęto refundacją w „normalnym” trybie. Resort nie wytłumaczył jednak, co ma patent do finansowania danej terapii przez Fundusz Medyczny. Na liście leków refundowanych jest mnóstwo preparatów objętych ochroną patentową.

Fundusz trzyma pieniądze na koncie

Plan wydatków Funduszu Medycznego na przyszły rok niewiele się różni od tegorocznego. Kwoty na poszczególne cele, takie jak leczenie dzieci, finansowanie ratunkowego dostępu do technologii lekowych czy finansowanie leczenia za granicą, są tylko nieco wyższe. W sumie Fundusz ma wydać 2,2 mld zł. A dostanie – jak już napisaliśmy – aż 4 mld zł, bo tak zapisano w ustawie. Zwróciło na to uwagę Biuro Analiz Sejmowych, które w opinii do projektu ustawy budżetowej zapytało, czy skoro minister zdrowia nie ma zamiaru wydawać wszystkich pieniędzy z Funduszu, nie należałoby się zastanowić nad zmianą zapisów ustawy.

Zgodnie z ustawą o Funduszu Medycznym ma on finansować bardzo drogie leczenie, którego nie ma w katalogu świadczeń refundowanych przez NFZ

Ile wydaje Fundusz?

4

MLD ZŁ

• **ponad tyle Fundusz Medyczny otrzymał w tym roku z budżetu państwa. Według planu finansowego miał wydać z tego 1,8 mld zł. Jednak do września wydał tylko 171 mln zł**

Antysemitki skandal w Kaliszu. Kto winien?

Cztery godziny trwało antysemitki rykowsko w centrum Kalisza. Wybuchł międzynarodowy skandal, a wraz z nim ruszył festiwal umywania rąk i wzajemnych oskarżeń.

W niedzielę, 14 listopada, Maciej Meler, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Ostrowie Wielkopolskim, wydał oświadczenie w sprawie „nieprawdziwych publikacji o rzekomym blokowaniu przez prokuratora czynności policji w trakcie zgromadzenia w Kaliszu 11 listopada 2021 r.”. Narodowcy krzyczeli: „Śmierć Żydom!”, zapowiadali powtórkę z antysemitki czystki w 1968 r.

Meler uważa za nieprawdziwe „informacje, jakoby prokurator zakazał policji zatrzymać uczestników zgromadzenia, którzy naruszali prawo”. „Zgodnie z obowiązują-

cymi przepisami decyzję o zatrzymaniu osoby w takich sytuacjach podejmuje samodzielnie policja” – podkreślił rzecznik.

Prokuratura odnosi się do informacji, które „Wyborcza” ujawniła w piątek. Andrzej Borowiak, rzecznik wielkopolskiej policji, przekazał nam, że jeszcze w trakcie zgromadzenia konsultowali się z prokuratorem z Kalisza. Przekazali mu treść wypowiedzi antysemitki Piotra Rybaka, pytając, czy mają go zatrzymać. Prokurator polecił jedynie, by udokumentować wypowiedzi.

Zdaniem policjantów wypowiedzi Rybaka mogły wyczerpywać znamiona dwóch przestępstw: nawoływania do nienawiści i znieważenia na tle różnic narodowościowych. Maciej Meler zaprzecza zatem nie tyle publikacjom medialnym, ile słowom rzecznika wielkopolskiej policji.

W piątkowym artykule przypomniał, że Piotr Rybak – co mogło nie być bez znaczenia – występował w przeszłości na konwencjach Solidarnej Polski, partii Zbigniewa Ziobry, ministra sprawiedliwości i zarazem prokuratora generalnego. Podczas manifestacji w Kaliszu antysemitki wypowiedzi padały też z ust innych osób, a przodował w nich organizator zgromadzenia, prawicowy pato-youtuber Wojciech Olszański vel Aleksander Jabłonowski. Ale pozostałych osób policja już nie chciała zatrzymywać – ograniczyła się do legitymowania i zabezpieczenia nagrań.

W obronie kaliskiej prokuratury stanęło stowarzyszenie prokuratorów Lex Super Omnia, opozycyjne wobec prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry. Potwierdza, że policja miała pełne prawo reago-

wać na łamanie prawa i żaden prokurator nie mógł jej tego zabronić.

– W sprawach, które nie są jednoznaczne i łatwe w ocenie, konsultujemy swoje działania z prokuraturą. To przyjęta od lat praktyka. Bo po co kogoś zatrzymywać, skoro potem prokurator puści taką osobę bez zarzutów? – tłumaczy anonimowo oficer poznańskiej policji.

Kalisz trafił na łamy izraelskich gazet i portali. O haniebnych wydarzeniach napisał m.in. „Jerusalem Post”. Protest wyraziły też Kościoły chrześcijańskie

Otwarte pozostaje pytanie, dlaczego kaliscy urzędnicy nie zakazali narodowcom organizacji zgromadzenia. Wolność zgromadzeń gwarantuje konstytucja, ale zgromadzenia można zakazać, jeśli jego cel jest niezgodny z prawem. Miasto wydało zakaz najpóźniej 96 godzin, czyli cztery dni, przed zgromadzeniem. Wojciech Olszański, co potwierdzają internetowe publikacje, nie ukrywał tymczasem, że zamierza urządzić w Kaliszu festiwal nienawiści. Manifestację zapowiadał hasłem: „Śmierć wrogom ojczyzny”. Urzędnicy to zignorowali.

W efekcie po trzech dniach od skandalicznych wydarzeń policja obwinia prokuraturę i miasto, a miasto i prokuratura – policję. Do odpowiedzialności nikt się nie poczuwa. ● **Piotr Żytnicki**

Sąd Rejonowy dla Łodzi-Widzewa w Łodzi

VIII Wydział Cywilny zawiadamia o toczącym się postępowaniu w sprawie o sygn. VIII Ns 236/20, z wniosku Mikołowskiego Banku Spółdzielczego w Mikołowie, o

STWIERDZENIE NABYCIA SPADKU

po Henryce Kazimierze Szparowskiej z domu Stolińskiej, córce Kazimierza i Elżbiety, zmarłej w dniu 3 kwietnia 2015 roku w Łodzi, ostatnio stale zamieszkałej w Łodzi przy ul. Przedział-
nianej 149/155/12.

Sąd zwraca wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia stawili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

SWEDE

spółka z ograniczoną odpowiedzialnością spółka komandytowa z siedzibą w Poznaniu informuje,

iż zabawka: Lalka, nr katalogowy B07, kod EAN 5902496166619, NIE SPEŁNIA WYMAGAŃ

rozporządzenia Ministra Rozwoju i Finansów z dnia 20 października 2016 r.

w sprawie wymagań dla zabawek, z uwagi na obecność w wyrobie ftalanu bis (2-etyloheksylu) (DEHP), co stwarza ryzyko niekorzystnego wpływu na zdrowie ludzkie, związanego z narażeniem na działanie ww. substancji stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa i zdrowia użytkowników.

Ogłoszenie publikuje się w związku z postępowaniem, prowadzonym przed Prezesem Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów.

GG.6821.17.1.18.1.202129.10.2021 r.

ZAWIADOMIENIE

Na podstawie art.114 ust. 3 i 4 ustawy z dnia 21.08.1997 r. o gospodarce nieruchomościami (t.j.Dz. U. z 2020 r. poz. 65 ze zm.)

Starosta Szczycieński informuje publicznie

o zamiarze ograniczenia sposobu korzystania z nieruchomości działki nr : 36 i 37/2 w obrębie Tylkowo, dz. nr: 99/1 i 109 w obrębie Rusek Wielki, gmina Pasym oraz dz. nr 1199 w obrębie Dąbrowy , gmina Rozogi, powiat szczycieński poprzez udzielenie zezwolenia firmie ENERGA-OPERATOR S.A. na założenie i przeprowadzenie na niej sieci kablowej elektroenergetycznej zgodnie z wnioskiem tejże spółki.

W związku z tym wszystkie osoby, którym przysługują prawa rzeczowe do powyższej nieruchomości mogą zapoznać się z materiałami oraz składać swoje wnioski i zastrzeżenia w ciągu 2 miesięcy od daty ukazania się zawiadomienia w pokoju nr 10 Starostwa Powiatowego w Szczycinie ul. Kościuszk 14 w godz. 9.00-14.00.

Podziemne rzeki

19

TYLE RZEK

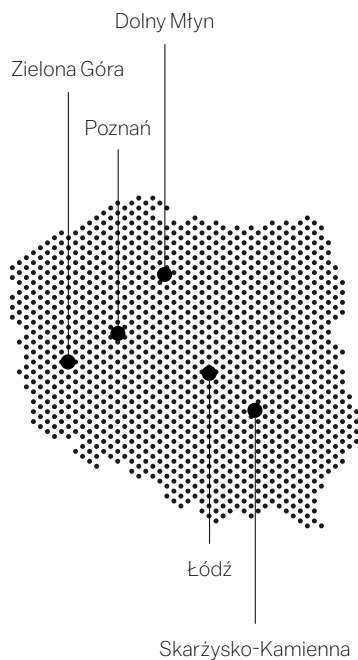
• **przepływa przez Łódź. Jednak wszystkie zostały zamienione w kanały ściekowe, zabetonowano je i ukryto pod ziemią. W ten sposób Łódź stała się miastem bez rzeki. Może się to zmienić. Magistrat planuje odkrycie niektórych fragmentów koryt.**

ŚWIĘTOKRZYSKIE

Znów stawiają krzyże morowe

Krzyż karawaka – z dwoma poprzecznymi ramionami – stanął przed Sanktuarium Matki Bożej Ostrobramskiej w Skarżysku-Kamiennej. Poświęcono go po sobotniej mszy w intencji „tych, którzy chorowali na COVID-19, opiekowali się chorymi, a także tych, którzy odeszli do wieczności”. Takie krzyże, nazywane morowymi lub cholerycznymi, stawiano przed wiekami dla ochrony podczas epidemii. Teraz obserwujemy powrót do tej tradycji. W październiku, z inicjatywy wojewody świętokrzyskiego, karawaka stanęła na Świętym Krzyżu.

jk



KUJAWSKO-POMORSKIE

Namierzony przez... znicz

Matka 19-latka, który zginął w wypadku niedaleko Dolnego Młyna w powiecie świeckim, ustawiała w miejscu tragedii znicze. Jednak bardzo często ktoś je kradł. Kobieta postanowiła więc użyć fortelu i włożyła do jednego ze zniczy nadajnik GPS. Niedługo potem – po jego sygnale – dotarła pod dom 61-letniego mężczyzny. Zawiadomiła policjantów, a ci znaleźli w mieszkaniu kolekcję zniczy, których wartość oszacowano na tysiąc złotych. Mężczyźnie grozi kara do pięciu lat pozbawienia wolności.

mc, kad

WIELKOPOLSKA

Las zamiast pola golfowego

270 tys. dębów, lip i buków zostanie posadzonych na osiedlu Krzyżowniki-Smochowice w Poznaniu. A jeszcze kilka lat temu planowano urządzenie w tym miejscu pola golfowego. Właśnie zrezygnowano z tego pomysłu i na obszarze 55 hektarów wyrośnie park leśny. – Cieszy nas, że płuca miasta powiększą się. Mamy bowiem nadzieję, że skorzystają na tym mieszkańcy nie tylko naszej okolicy, ale też całego Poznania – mówi Przemysław Polcyn, przewodniczący Rady Osiedla Krzyżowniki-Smochowice.

md

Debata „Niepodległa. Samorządna”

Era narodowego pełzania

– Kto nie popełni, nie dostanie pieniędzy. Nie możemy się na to zgodzić – mówią samorządowcy.

Piotr Bakselerowicz

ZIELONA GÓRA

– Zmierzch samorządu czy rozwój? – zastanawiał się senator Wadim Tyszkiewicz, były prezydent Nowej Soli, podczas debaty „Niepodległa. Samorządna” w Urzędzie Marszałkowskim w Zielonej Górze. – Raczej zmierzch. Taki, w którym jest coś symbolicznego. Bo rząd właśnie zdradza ideały „Solidarności”. Pamiętacie pełną nazwę? Niezależny Samorządowy Związek Zawodowy. U podstaw nowej Polski, której tak bardzo chcieliśmy, leżała samorządność. Teraz ci z logo „S” niszcza własne fundamenty. Sukces naszego państwa wziął się stąd, że gospodarz bierze odpowiedzialność przed swoimi mieszkańcami. Teraz czeka nas „Polski ład”, czyli nowy porządek. Oznacza to, że rola państwa znów będzie wiodąca zamiast pomocnicza.

Na kredyt

– Co samorząd, po ponad 30 latach, zapisze po stronie porażek? – pytał prowadzący debatę Mikołaj Chrzan, wicenaczelny „Gazety Wyborczej”.

Paniści najczęściej odpowiadali: – Nie chybione inwestycje, bo takich było bardzo mało, lecz edukacja obywatelska. Większość Polaków do dziś tak naprawdę nie wie, jak dzia-

ła samorząd. Kto w mieście rządzi, w jaki sposób, jaki ma zakres władzy.

Marszałek lubuska Elżbieta Polak: – Lubuskie inwestycje w zdrowie, budowa szpitala dziecięcego, to cywilizacyjne kamienie milowe dla mieszkańców. Listę osiągnięć można długo ciągnąć. Z drugiej strony widzę upadek przyzwoitości w polityce i samorządzie, w którym jest mniej etyki, coraz więcej demoralizacji. To najbardziej boli w czasach, gdy PiS odbiera samorządom autonomię i pieniądze. Wprowadzany „Polski ład” toczyłby kierunek zmian. Idzie ku centralizacji Polski i autorytaryzmowi.

– Samorządy stracą 12-14 mld zł rocznie, a rząd na inwestycje przekaże w widowiskowy sposób 8 mld zł. Do prawdy, świetny interes. Musimy uświadomić ludziom, na czym to wszystko polega. I to też jest sprawa zaniedbanej edukacji obywatelskiej – wyliczał Marek Cebula, burmistrz Krosna Odrzańskiego i prezes Zrzeszenia Gmin Województwa Lubuskiego. – „Polski ład” czy „Program Inwestycji Strategicznych” są powrotem do epoki Edwarda Gierka. Wtedy podjęto decyzję, że będziemy żyli na kredyt, bo ktoś kiedyś go spłaci, i tak samo jest dzisiaj. Rząd rozdaje pieniądze, których nie ma. Będą one pochodziły z obligacji państwowych, które państwo będzie musiało wykupić. To ozna-



• Marszałek lubuska Elżbieta Polak podczas samorządowej debaty

FOT. WŁADYSŁAW CZULAK / AGENCJA WYBORCZA.PL



„Polski ład” czy „Program Inwestycji Strategicznych” są powrotem do epoki Edwarda Gierka

MAREK CEBULA,
burmistrz Krosna Odrzańskiego

cza, że jako społeczeństwo będziemy spłacać je do końca życia, a potem jeszcze nasze dzieci.

Czeki bez pokrycia

Samorządowcom doskwiera metoda rozdawania pieniędzy „po uważaniu”, bez jasnych kryteriów. Do anegdoty przeszły już uzasadnienia do wniosków na inwestycje z „Polskiego ładu” – samorządowcom polecono opisy zmieścić w tekście długości trzech SMS-ów.

– PiS rozdaje czek bez pokrycia. Z pompą, zdjęciami. I mam żal do samorządowców, że ulegają presji i biorą w tym spektaklu udział. Za co dziękują rządowi? Że premier Mateusz Morawiecki sam podmiął w którymś samorządzie jakąś inwestycję, w innym wojewoda, bo

uznał, że dana droga jest ważniejsza – krytykowała Krystyna Sibińska, posłanka KO.

Konrad Antkowiak, burmistrz Wschowy, przyznaje, że sam brał czek od wojewody: – Poszedłem z niechęcią, bo impreza przypominała minione czasy. Miałem też świadomość, że to wszystko jest na kredyt. Ale mieszkańcy prawdopodobnie by nam nie wybaczyli, gdybyśmy nie skorzystali z tego programu. Mnie bardziej niż pokazówki martwi odbieranie samorządom kompetencji. Za chwilę procedowana będzie ustawa, która sprawi, że nie będziemy mieli żadnego wpływu na wybór dyrektorów szkół, chociaż to my nimi zarządzamy. Subwencja oświatowa pokrywa tylko połowę kosztów. Jak powsadzają partyjnych dyrektorów, to czy to będą jeszcze nasze szkoły?

Marek Cieślak, radny sejmiku, był starosta żarski: – „Polski ład” to narodowa szkoła pełzania. Kto nie popełni, nie dostanie pieniędzy. Nie możemy się na to zgodzić. Ostatnio czytałem, że powstaje prorządowe stowarzyszenie samorządowców. Wcześniej szanowałem tych ludzi za niezależność, a teraz widzę, że oni będą pełzać. To jest najbardziej smutne. ●

wyborcza.pl

• Więcej czytaj na
Zielonagora.wyborcza.pl

www.investinlubuskie.pl

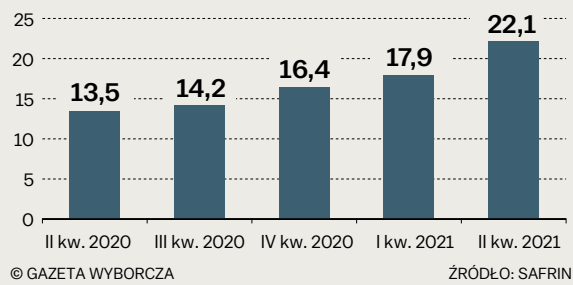
30

PROC.

• O tyle niższe pensje, gospodarka na poziomie Bułgarii, o miliardy mniejszy eksport – taki m.in. byłby efekt braku Polski w UE, wynika z raportu „Gdzie naprawdę są konfitury?” Fundacji Schumana

Wartość udzielonych kredytów mieszkaniowych

Dane w mld zł



© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO: SAFRIN



Mówię młodym ludziom, że muszą wywierać presję, a my musimy przyspieszyć. Już jesteśmy szybsi. (...) Ale nadal zdecydowanie za wolni

ANGELA MERKEL

ustępująca kanclerz Niemiec, o aktualnych wyzwaniach klimatycznych w wywiadzie dla Deutsche Welle

Więcej ► V



Prof. Jerzy Hausner: Są dwa nurty ekonomii. Jeden odwołujący się do wyniku finansowego i monetyzacji. Drugi – do społecznej istoty gospodarowania. Dla rozwoju ekonomii potrzebne jest odbudowanie tego drugiego nurtu, bo one się nie uzupełniają, nie współdziałają ze sobą. ► II-III

3 godziny pracy dziennie – 3 tys. zł miesięcznie

Złote żniwa korepetytorów

Ich telefony nie milkną, ale wielu już od dawna nie przyjmuje nowych uczniów, mając kalendarze wypełnione po brzegi. Niektórzy pracują nawet w soboty, wyciągając z korepetycji nieźle pieniądze.

Justyna Sobolak

O słabościach polskich szkół powiedziano już wiele, a zmian, które miałyby służyć uczniom, jak nie było, tak nie ma. Nauczyciele pędzą z materiałem, by zrealizować program nauczania, a dzieci są coraz bardziej zagubione.

Problemy pogłębiła pandemia i związane z nią nauczanie zdalne.

Według raportu „Polaków portfel własny: szkoła 2.0 egzamin z powrotu”, przygotowanego przez Santander Consumer Bank, blisko połowa rodziców jest zdania, że ich dzieci podczas zajęć online nie radzą sobie z nauką tak dobrze jak w szkole. Prawie 40 proc. badanych uważa,

że lekcje online są mniej efektywne. Nie dziwi zatem, że rodzice szukają wsparcia.

Zdalnie drożej niż stacjonarnie

Ceny korepetycji rosną z roku na rok. Trudno znaleźć już oferty poniżej 40 zł za godzinę, a w przypadku niektórych przedmiotów trzeba zapłacić nawet w okolicach 100 zł. Ceny różnią się w zależności od miasta i przedmiotu, ale też formy zajęć. Co ciekawe, korepetycje online, które zaczęły cieszyć się popularnością w pandemii, są o kilka, a nawet kilkanaście złotych droższe niż lekcje stacjonarne. Trudno o oferty zajęć poniżej 50 zł za godzinę. Skąd taka różnica?

– Wielu korepetytorów posilkuje się dodatkowymi programami płatnymi umożliwiającymi prowadzenie zajęć indywidualnych czy grupowych z możliwością automatycznego zapisu lekcji i materiałów. Wykorzystują również tablety graficzne

czy aplikacje do rysowania wykresów. Zajęcia online to również dodatkowy czas w pracy korepetytora, gdzie treści z tradycyjnych książek musi przenieść na wersję cyfrową, aby móc udostępnić uczniowi. Stąd wyższe ceny – tłumaczy Magdalena Florczyk z serwisu e-korepetycje.net.

Na ceny wpływa też popyt. Zainteresowanie taką formą zajęć jest duże, stąd i ceny rosną.

Atrakcyjne zyski

Na korepetycjach można nieźle zarobić. Jeśli przyjąć, że godzina

zajęć to koszt 50 zł, a nauczyciele poświęcą na edukację trzy godziny dziennie, mają 150 zł dniówki. To w skali miesiąca, bez sobót, daje 3 tys. zł. Ale wielu nauczycieli pracuje także w soboty. Inni tworzą też grupy – 2- czy 3-osobowe, co pozwala im wyciągać 150 zł na godzinę.

Aleksandra, która uczyła języka angielskiego w szkole podstawowej w jednej z wiosek na Podkarpaciu, porzuciła etat i założyła działalność gospodarczą. Jak mówi, miesięcznie zarabia 5 tys. zł. Zyskała większą elastyczność, indywidualną pracę z uczniem, spokojną głowę. Nie mówiąc o pensji dwa razy wyższej niż ta, którą dostawała w szkole.

Korepetycji udziela też wielu nauczycieli będących na emeryturze, dorabiając do często skromnych świadczeń. Są też tacy, którzy łączą zajęcia pozalekcyjne z pracą w szkole. Przyjmując, że korepetytor dziennie może sobie pozwolić na eduka-

cję pięciu uczniów, a za lekcję pobiera 50 zł, daje mu to 5 tys. zł miesięcznie. Oczywiście nie wszyscy mogą sobie pozwolić na codzienne udzielanie korepetycji, wielu jednak nadrabia w soboty.

Korepetycje a podatki

Korepetytorzy muszą jednak pamiętać, że dochody trzeba rozliczać. Jeśli sporadycznie przyjmują uczniów, nie muszą zakładać działalności gospodarczej. O zarobkach z korepetycji trzeba jednak poinformować skarbowkę, rozliczając PIT. Zarobki kwalifikuje się do przychodów „z innych źródeł”. Mogą zostać opodatkowane na dwa sposoby. Można ująć całość przychodów z korepetycji w zeznaniu rocznym i wówczas zapłacić podatek za cały rok. Drugi sposób polega na odprowadzaniu 20. dnia każdego miesiąca zaliczki na podatek dochodowy. Warunkiem takiego sposobu rozliczania jest stosowanie tej metody przez cały rok. ●

Poradnik o korepetycjach ► VII

Trudno znaleźć już oferty poniżej 40 zł za godzinę, a w przypadku niektórych przedmiotów trzeba zapłacić nawet w okolicach 100 zł

ROZMOWA Z
PROF. JERZYM HAUSNEREM

PATRYCJA MACIEJEWICZ: Inflacja wprawdzie już ociera się o 7 proc., ale Rada Polityki Pieniężnej w końcu zareagowała. Podwyższyła stopy procentowe dwa razy, łącznie o 1,25 pkt. To pana uspokaja? **PROF. JERZY HAUSNER*:** Pozwolono, by inflacja wymknęła się spod kontroli. Jej sprowadzenie w okolice celu inflacyjnego zajmie co najmniej dwa lata. Obecne decyzje RPP uważam za nerwowe, desperackie. Główny problem sprowadza się obecnie do tego, że wiarygodność NBP jest bardzo niska. A to oznacza, że przeciwdziałanie wysokiej inflacji będzie trudne i kosztowne.

Prezes NBP Adam Glapiński stwierdził, że zaskoczenie decyzją było celowe. Bo nie można zapowiadać decyzji RPP.

– Używam określenia „linia polityki pieniężnej”. To istotne, by różni uczestnicy rynku, szczególnie inwestorzy, wiedzieli, że polityka pieniężna prowadzona jest w oparciu o czytelną regułę. Mówimy więc o mandacie ustawowym; dla NBP jest to stabilizacja siły nabywczej pieniądza. Po drugie wiemy, w jaki sposób NBP ma zamiar interpretować swoje zadanie – tu mówimy o celu inflacyjnym na poziomie 2,5 proc. Po trzecie znamy zbiór instrumentów, jakimi będzie się posługiwać przy realizacji tego konkretnego celu.

Ale to za mało, by polityka pieniężna była skuteczna, gdyż jej główny oręż to wpływanie na oczekiwania inflacyjne, które z kolei wpływają na zachowanie uczestników rynku – wytwórców i konsumentów. Fundamentem polityki pieniężnej jest dobra komunikacja. Jeśli taka jest, to linia polityki pieniężnej jest czytelna, a sama polityka przewidywalna. Uczestnicy rynku się do niej odpowiednio dostosowują. Polityka pieniężna jest wtedy skuteczna i NBP wypełnia swoje zadanie. Ale tak niestety nadal nie jest.

Sposób komunikowania, jaki uprawia prezes Adam Glapiński, osłabia wiarygodność banku. Skoro prezes zapewniał, że nie ma powodu do podnoszenia stóp procentowych (sytuacja nie zmienia się w ciągu miesiąca diametralnie, a mamy diametralnie inne działanie NBP), po czym po miesiącu podniesiono stopy, to znaczy, że prezes gra z nami w trzy karty? Może podniesiemy, może obniżymy, a może nic nie zrobimy – zgadujcie! Komunikacyjna katastrofa.

A po co nam ta przewidywalność? Prezes uznał inwestorów i uczestników rynku za jakąś sitwę, która czyha i kombinuje, jak tu dobry interes ubić na możliwie wysokiej stopie procentowej. Nie powinniśmy więc im tego ułatwiać.

– To niepoważne, niewiarygodnie niepoważne. Nie należy komentować każdej głupoty, którą ktoś wypowie. Skupię się zatem na mechanizmach. Stopy procentowe NBP są tylko pierwszym ogniwem łańcucha oddziaływania polityki pieniężnej. Kluczowe jest, jak się zachowują banki. A jeśli banki nie odczytują, nie rozumieją linii polityki pieniężnej, to będą się zachowywały oportunistycznie. Zatem jeśli oskarża się uczestników rynku, że wykorzystują sytuację, to bank centralny ich do tego skłania. Skraca bowiem horyzont czasowy, w jakim sytuację da się przewidzieć. Wiadomo tylko tyle, co dziś prezes powiedział i RPP zdecydowała. Przy czym teraz dodatkowo decyzje i komunikat się rozchodzą.

Gdyby dla banków jasne było, jaka jest linia polityki pieniężnej w średnim okresie, wydłużyłby horyzont swego działania w relacjach z klientami, kontrahentami. Oczekiwania na te cztery do sześciu kwartałów do przodu byłyby zakotwiczone. A to stabilizowałoby inflację. Bez tego, gdy inflacja dotkliwie rośnie, wszyscy uczestnicy rynku zachowują się nerwowo i oportunistycznie: lepiej korzystać, póki się da, i windować swoje żądania płacowe i ceny, by zdążyć przed innymi.

W całej narracji prezesa wyczuwam trochę brak zdecydowania między „jest świetnie” a „trzeba pilnie działać, bo sytuacja stała się podbramkowa”.

Potrzebujemy ekonomii rozwoju

Ekonomia wartości jest nie tylko porządkiem operacyjnym, ale i etycznym. Powinniśmy odpowiadać nie tylko na pytania „jak?”, „za ile?”, ale też „po co?”. Jeśli nie potrafimy o to zadbać, będziemy mieć do czynienia z coraz silniejszą antyrynkową kontrreformacją.



*** Jerzy Hausner**

• profesor nauk ekonomicznych, były wicepremier (w latach 2003-05) i członek Rady Polityki Pieniężnej (2010-16). Twórca koncepcji Międzynarodowego Kongresu Ekonomii Wartości Open Eyes Economy Summit, a także przewodniczący jego rady programowej.

FOT. ANDRZEJ BANAS /
POLSKA PRESS

– Nie spotkałem lepszego merytorycznie zespołu niż ten w NBP. Instytut Ekonomiczny NBP był w tym czasie, kiedy byłem członkiem RPP, najsilniejszym ośrodkiem analizy ekonomicznej w Polsce. Jeśli ci ludzie dalej solidnie wykonują swoją pracę, a decyzje i ich uzasadnienie są takie, jak widzimy, to moim zdaniem wiedza analityczna nie miała przełożenia na działanie Rady.

Prezes przekonuje, że inflacja potrwa jeszcze jeden-dwa kwartały, a potem zacznie spadać. Jeśli tak, to – na Boga! – po co teraz stopy podnosić?! Przecież polityka pieniężna ma przełożenie na rzeczywistość zasadniczo za 4-6 kwartałów. Najwcześniej obecne decyzje coś – i częściowo – dadzą za dwa kwartały, kiedy zdaniem pana prezesa i tak inflacja będzie spadać i wracać do celu.

Rząd wpompował w pandemii w gospodarkę olbrzymią ilość pieniędzy. Ewidencja chciała nakręcić maksymalnie wzrost PKB, a dzięki inflacji szybko wyrosnąć z długu, który zaciągnął. Stąd kluczowe było „wsparcie” NBP.

– Jeśli pusty pieniądź i nominalny wzrost jest siłą napędową gospodarki, to bardzo dla niej niedobrze. Musimy mieć prorozwójową orientację wydatków, bo jeśli płace rosną szybciej od wydajności pracy, to wzrost jest jałowy, więc musi nakręcać inflację, po prostu musi. A jak jeszcze luźnej polityce fi-

skalnej towarzyszy luźna polityka monetarna, mamy to, co teraz, czyli kłops.

No to może tym prorozwójowym przełożeniem będzie deklaracja odejścia od węgla, którą Polska podpisała w Glasgow?

– A kto konkretnie z decydentów w Polsce ma wpływ na politykę energetyczną, kto za nią odpowiada? Czy to pan premier? A może formalnie jego podwładny, wicepremier Jacek Sasin? Zdaje mi się, że to, co mówią na ten temat, jest sprzeczne. Mamy do czynienia z grą pozorów. Oczywiście jest, że dokonanie transformacji energetycznej to konieczność. Jednak nie tylko dlatego, że są zmiany klimatu, ale dlatego, że Polska gospodarka utraci konkurencyjność bez takiej transformacji. Nasza dotychczasowa przewaga – to, że firmy miały relatywnie tani prąd z węgla – stanie się naszym ciężarem.

Potrzeba zainwestować kilkadziesiąt miliardów złotych w 10-15 lat. Przedsiębiorstwa energetyczne nie mają tych pieniędzy. Zawsze były „na skraju”, nawet jeśli wyniki finansowe były dodatnie, bo musiały kupować drogi krajowy węgiel, bez tego górnictwo upadłoby. Energetyka to sektor państwowy i jak się nim zarządza? W Tauronie za obecnych rządów to już chyba ósmy prezes. Jeden z prezesów, pytany, „Jaki jest twój cel jako szefa firmy energetycznej?”, odpowiedział: „Każdy dzień na stanowisku jest dla mnie oplatany”. Śmieję się, ale to wcale nie jest śmieszne.

To kto da te miliardy? Państwo?

– W domu to ja płacę rachunki energetyczne i widzę, ile wprowadzono dodatkowych opłat, które nie są związane z tym, ile zużyliśmy energii. Teoretycznie są po to, by kumulować kapitał na niezbędne inwestycje. I są te inwestycje? Symbolem jest blok w Ostrołęce. Zmarnowany miliard złotych. A gdy nasz rachunek przestaje zależeć od zużycia energii, przestajemy mieć motywację do oszczędzania prądu, wymiany sprzętu.

Na energetykę węglową już nikt nam nie pożyczy. Banki, które chcą działać na rynku UE, nie będą mogły finansować brudnej energii. Czy to ideologia? Nie, to kalkulacja ekonomiczna. Każdy prezes banku powie, że przecież energetyka oparta na węglu nie będzie opłacalna, a więc ten projekt się nie zwróci. I nie można finansować takiej inwestycji. Koniec, kropka.

Kto odpowiada za energetykę dzisiaj? Morawiecki? Sasin? Ministerstwo Klimatu? Kto formułuje tę kluczową strategię? Czytam informacje o tym, co wynika z maili, które wyciekły ze skrzynki Michała Dworczyka i ze zdumieniem odkrywam, czym ci panowie się zajmowali. Dzień po dniu, dzień po dniu! Setki maili w błahych sprawach wysyłają, to kiedy mają się zajmować poważnymi sprawami?

Czas w gospodarowaniu jest albo marnowany, albo wykorzystywany. A jeśli marnujemy czas, to w prosty sposób prowadzimy

do sytuacji, że trzeba w końcu działać radykalnie. A to kosztowne, trudne i obciążające politycznie. Tak samo jak z inflacją.

Ktoś powie: ale wprowadzamy rekompensaty.

– Dosypywanie pustego pieniądza do systemu będzie kolejnym impulsem inflacyjnym. URE już zapowiedziało, że podwyżki będą wyższe niż inflacja. A to znaczy, że za chwilę trzeba będzie sięgać po kolejne rekompensaty. Błędne koło. Słabszym ekonomicznie pomaga się skutecznie, jeśli nie dopuszcza się do wysokiej inflacji. Za inflację to oni zawsze płacą najwięcej.

Nie da się ukryć, że rzesze ludzi będą dotknięte podwyżką cen prądu. Gdzie ta spójność społeczna trzeszczy najbardziej?

– Rzeczywistym problemem jest narastanie antagonizmów społecznych. To jest powodowane przez politykę, język polityki, fundamentalizm religijny, przez agresywny nacjonalizm.

Weźmy oświatę – szanse edukacyjne dzieci z obszaru jednego miasta są bardzo nierówne. Mamy społeczną segmentację szkół podstawowych, liceów i uczelni. W relacji miasto-wieś wygląda to jeszcze gorzej. A dostęp do zdrowia? Doszliśmy do sytuacji jak w PRL, aby być zdrowym, potrzeba znajomości, mimo że coraz więcej płacimy za zdrowie w własnej kieszeni.

Dysproporcje w dostępie do różnych dóbr narastają. Jaka powinna być odpowiedź? Solidarność w rozwoju to program, którego potrzebujemy. Mamy wielki problem z relacjami międzypokoleniowymi i wewnątrzpokoleniowymi.

Władza ma na to odpowiedź: „Daliśmy 500+, daliśmy 13. i 14. emeryturę. Jest więc lepiej czy gorzej?”

– Wyższa emerytura nie pomoże, jeśli seniorzy nie będą mieć dostępu do rehabilitacji, do usług. To, że ludzie dostają pieniądze, nie rozwiązuje problemów z jakością życia i nie gwarantuje zaspokojenia wielu potrzeb. Jak wygląda infrastruktura publiczna, jak odpowiadamy na potrzeby osób niesamodzielnych? Albo tych, które być może są samodzielne, ale samotne, albo z innych powodów nie mają szansy uczestnictwa w życiu społecznym?

Jak wygląda przygotowanie do czwartej fali koronawirusa? Nie poradziliśmy sobie ze szczepieniami ani z przygotowaniem szpitali, ani nie przygotowaliśmy rozwiązań prawnych, które skłaniałyby do innych rozsądnych i odpowiedzialnych społecznie zachowań.

Rząd realizuje program autorytarnego bezpieczeństwa, tyle że mamy rosnący autorytaryzm i coraz mniej społecznego i osobistego bezpieczeństwa. Tak jak w PRL-u obiecywano równość i bezpieczeństwo, a byli równi i równiejsi, za to bezpieczeństwo było dla wybranych. Tak się kończy każda władza autorytarna, która istnieje wyłącznie dla potrzeb tych, którzy ją wspierają. Stajemy się społeczeństwem dystopijnym, w którym ludzie nie widzą sensu w żadnym działaniu poza strategią „ratuj się kto może”.

Mówiąc o zdrowiu, edukacji, energetyce, nie da się uciec od pieniędzy, budżetu i od podatków. Rząd sprawnie tę narrację prowadzi.

– To nie jest tak, że redystrybucja nie jest potrzebna, ale też sama redystrybucja nie wystarczy.

Rządzący sądzą, że redystrybucja od tych, których jest mniej (młodzi), do tych, których jest więcej (seniorzy), przełoży się na więcej głosów wyborczych. Tyle że przez te transfery nie mamy już pieniędzy, by podnosić kompetencje młodych osób. W konsekwencji ci starsi za parę lat nie będą mieli opieki.

A stratni będą i jedni, i drudzy.

– Mamy narastający problem z relacjami międzypokoleniowymi i wewnątrzpokoleniowymi. Dlatego na tegoroczny Open Eyes Economy Summit [16-17 listopada – red.] przygotowaliśmy raport „Pokolenia – solidarni w rozwoju”.

W społeczeństwach rozwojowo bardziej zaawansowanych istnieje wiele kulturowo osadzonych rozwiązań (nie tylko prawnie), które ułatwiają zarządzanie starzejącym się społeczeństwem, aktywizacją seniorów czy „zarządzanie wiekiem” w różnego rodzaju organizacjach. Skandynawscy przedsiębiorcy nie sądzą, że pracownicy starsi są im zbędni, że liczy się przyjmowanie młodych, którzy z jeszcze większym poświęceniem mogą traktować pracę kosztem rodziny i życia osobistego. Tym bardziej że najmłodsze pokolenia mają inne spojrzenie na relacje między życiem a pracą.

Trzeba więc tak organizować pracę, aby kompetencje różnych grup wiekowych ze sobą współgrały. Myśleć, jak ma wyglądać wielopokoleniowa i wielokulturowa organizacja, i dbać, aby taka była. Skandynawowie to praktykują i to nie tylko z powodów równościowych i antydyskryminacyjnych, ale dlatego, że to służy rozwojowi i – co teraz modne – uzyskiwaniu odporności na różnego rodzaju szoki. W zespołach, gdzie pełnoprawnie uczestniczą kobiety i mężczyźni, gdzie różne grupy wiekowe mają szanse rozwoju, osiąga się lepsze rezultaty. Kształtowanie kompetencji nie polega na szkoleniu i przystosowywaniu do miejsca pracy, ale na wzajemnym uczeniu się i odpowiednim modelowaniu miejsc pracy. Sukces, także ekonomiczny, oparty jest na zdolności różnych osób do wytwarzania nowej wiedzy.

Mam wrażenie, że takiej międzypokoleniowej narracji nie ma. Ostatni raz tak przekonywano – ale zupełnie na opak – gdy przy obniżaniu wieku emerytalnego skorzystała miała i babcia, i wnuczka, którą owa babcia miała się opiekować.

– Przeciętny wiek wchodzenia w samodzielność ekonomiczną w Polsce to 26 lat. To późno. A traci się zdolność do samodzielności ekonomicznej przeciętnie w wieku 56 lat. Okres samodzielności ekonomicznej to 30 lat, przy średniej długości życia zbliżonej do 80.

Open Eyes Economy Summit

- Kongres ekonomiczno-społeczny, którego wyróżnikiem jest filozofia Open Eyes, mówiąca o konieczności budowania odpowiedzialnego społeczeństwa obywatelskiego, wymagającego też odpowiedzialności od biznesu i administracji.

6. edycja OEES odbędzie się w dniach 16-17 listopada w Centrum Kongresowym ICE w Krakowie, ale i online na specjalnej platformie streamingowej. Zaplanowane tematy to m.in. zarządzanie różnorodnością, wielopokoleniowe i wielokultu-

rowe organizacje, miasta historyczne, ekosystemy w czasach COVID-19, ułokalnianie gospodarowania, społeczna i środowiskowa odpowiedzialność biznesu. Jednym z patronów medialnych wydarzenia jest Wyborcza.biz. ●

Nie brzmi jak coś, co dałoby się utrzymać.

– Oczywiście, że się nie da. Musimy się zastanowić, pod jakimi warunkami młodzi ludzie będą w stanie się usamodzielniać wcześniej. To nie jest tylko problem kulturowy, choć mamy fenomen gniazdowania (długiego życia dorosłych dzieci razem z rodzicami), mamy rosnącą grupę ludzi, którzy się nie uczą, nie pracują. To także problem dostępu do mieszkania, godnych zarobków, stabilności pracy. Nie możemy o tym rozmawiać w kategoriach politycznej gry, redystrybucji przez system podatkowy, ale spojrzeć jako na system społeczny, którego podstawą jest prawo do jakości życia i rozwoju.

Zacznijmy rozmawiać o naszym życiu, o naszym losie. Ogłaszając nowy raport, formułujemy pozytywny przekaz. Wskazujemy, jakiej polityki publicznej potrzebujemy. A zewsząd słyszę tylko o katastrofie. To paraliżuje.

Rządzący sądzą, że redystrybucja od tych, których jest mniej (młodzi), do tych, których jest więcej (seniorzy), przełoży się na więcej głosów wyborczych. Tyle że przez te transfery nie mamy już pieniędzy, by podnosić kompetencje młodych osób. W konsekwencji ci starsi za parę lat nie będą mieli opieki

W demografii jest katastrofa. Nie da się tego zagłuszyć zaklęciem.

– Różnego rodzaju zmian demograficznych nie odwrócimy. Ich konsekwencje są różne, często społecznie niekorzystne – to prawda. To stanowi zagrożenie. Aby mu sprostać, trzeba je zrozumieć jako wyzwanie, którego dobre zdefiniowanie pozwala określić zadania do podjęcia. To właściwy sposób myślenia. Nie godzę się na mówienie o katastrofie.

A ja, że mamy nóż na gardle. I problemów, które pan wymienił, nie da się rozwiązać bez ingerencji w procesy demograficzne, czy to na zasadzie zwiększania dzietności i wzmacniania podstaw piramidy demograficznej, czy otwarcia się na imigrantów, którzy będą naszymi obywatelami.

– Migrację rządzący traktują jako wielkie zagrożenie. A z drugiej strony mieliśmy przed pandemią 1,5 mln pracowników z Ukrainy i Białorusi. Byli nam potrzebni, teraz jest ich mniej i to nas osłabia.

Musimy prowadzić integracyjną politykę migracyjną, taką, aby ci, którzy przyjechali do nas za zarobkiem, chcieli tu zostać, czuć się u siebie. Nie, aby przyjąć naszą wiarę, nasze przekonania polityczne, nasze zwyczaje kulturowe i święta, kuchnię. Ale by chcieli przyjąć na siebie obowiązek bycia współobywatelami, bez rezygnowania z tego, co dla nich duchowo ważne.

Czy zadbaliliśmy o ich bezpieczeństwo pracy? Czy odkryliśmy ich potencjał? Gdzie są rządowe programy, które wspomagałyby ich adaptację i integrację? Działają tak niektóre samorządy terytorialne, np. Gdańsk, ale to o wiele za mało.

Na poziomie korporacji to się odbyło.

– To nie wystarczy. Takie myślenie musi odbyć się na poziomie szkoły, samorządu, państwa. A jaki mamy klimat społeczny? Jak tylko jest to rządzącym na rękę, wyciągają straszak migrantami. Mówiąc wprost – to, co byłoby dla nas szansą, jest przedstawiane jako zagrożenie.

Co to jest ekonomia wartości?

– Są dwa nurty ekonomii. Jeden odwołujący się do wyniku finansowego i monetaryzacji. Drugi – do społecznej istoty gospodarowania. Dla rozwoju ekonomii potrzebne jest odbudowanie tego drugiego nurtu, bo one się nie uzupełniają, nie współdziałają ze sobą.

Ten model gospodarowania, który kładzie nacisk na wynik finansowy, na cenę, wyceinę i prowadzi do oportunistycznych i krótkookresowych zachowań, jest kontestowany i skutkuje kontestowaniem rynku w ogóle. Stąd właśnie fala etatyzmu i powiększania domeny państwa w gospodarce. Ekonomia wartości jest nie tylko porządkiem operacyjnym, ale i porządkiem etycznym. Powinniśmy odpowiadać nie tylko na pytania „jak?”, „za ile?”, ale też „po co?”.

Jeśli nie potrafimy o to zadbać, będziemy mieć do czynienia z coraz silniejszą antyrynkową kontrreformacją. Prowadzenie działalności, która ma dodatni wynik finansowy, ale wykorzystuje zasoby i ich nie odtwarza, jest działalnością rabunkową.

Jakiś przykład?

– Popatrzmy na overtourism, masowy ruch turystyczny eksploatujący zasoby dziedzictwa kulturowego. Czy to się opłacało? Doraźnie tak. Dochody rosły, ceny ziemi rosły, napływał kapitał, powstawały hotele, restauracje, apartamentowce. W pewnym momencie przeciążenie turystyczne miast historycznych obraca się przeciw nim. Korzyści nielicznych oznaczają koszty dla większości mieszkańców, którzy są spychani z centrum na peryferia. Nie stać ich na czynsze i ceny, które są w centrum.

Dziś dla większości ekonomistów jasne jest, że jak się zasoby eksploatuje, a nie pomnaża, to w końcu ci, co zarobią, się wyniosą, a zostaną tylko tacy, którzy będą ponosić koszty degeneracji tkanki miejskiej, zanieczyszczenia środowiska itd. Potrzebujemy ekonomii rozwoju, która została wyparta przez ekonomię transakcji i krótkookresowego oportunizmu. ●

Rozmawiała Patrycja Maciejewicz

WSPRZEDAŻY

plus: dwa prezenty magazyn „Psychologia dla rodziców” i audiobook „Czuła przewodniczka” Natalii de Barbaro



MAŁGORZATA FOREMNIAK

Straty mnie wzmacniają

MICHAŁ CICHY

Zbudowałem się od nowa

CO NAM DAJE psychoterapia?

ALEX KORB Pokochaj swój mózg

wysokie obcasy extra

Dobra żywność musi być droga

– Chcemy mieć w sklepie żywność ze zrównoważonych upraw, dbać o dobrobyt rolników, o warunki zatrudnienia w Kooperatywie, a jednocześnie o jej rentowność. Świetnie to działało do pandemii.

Edyta Bryła

Nina Józefina Bąk jest pomysłodawczynią i współzałożycielką Kooperatywy Spożywczej „Dobrze”, sprzedającej ekologiczną żywność, w tym od lokalnych rolników. Działa na rzecz rozwoju ruchu kooperatyw i przedsiębiorczości społecznej w Polsce. Prowadzi Klub Spółdzielczy w CoopTech Hub – centrum technologii spółdzielczych. Znalazła się w gronie dwudziestu kobiet w Polsce wyróżnionych jako Liderki Zrównoważonego Rozwoju przez ForbesWomen2021.

EDYTA BRYŁA: Naprawdę muszę płacić 6 zł za kilogram jabłek, żeby sadownik mógł żyć ze swojej pracy?

NINA JÓZEFINA BĄK: Żywność w Kooperatywie rzeczywiście jest droższa niż w zwykłym warzywniaku. Nie zaprzeczamy temu. Ale to żywność ekologiczna, najwyższej jakości. Placimy rolnikom za jakość, świeżość i ekologiczny sposób uprawy. Truskawki są drogie, ale mamy pewność, że nie są przyskane i że są superzdrowe.

Cena to też efekt tego, jaką produkcję żywności chcemy wspierać. Chcemy płacić rolnikom sprawiedliwe ceny, żeby produkowali z dbałością o środowisko i nie kusilo ich, żeby produkcję potaniać. Żeby im się chciało kultywować zrównoważone uprawy, które chronią bioróżnorodność, nie zanieczyszczają gleby i wody.

Ale wprowadziliśmy też kilka mechanizmów, dzięki którym te produkty są bardziej dostępne cenowo, jak ceny członkowskie czy senioralne. Przecieramy szlaki, tworząc miejsce zbytu dla tego typu żywności.

A jeśli chodzi o jabłka, to placimy dużo naszemu dostawcy, bo są fantastyczne, uprawiane przy wsparciu probiotyków. Zbyszek dostarcza nam je przez cały rok i są zawsze świetnej jakości. A poza tym jabłka to także koszt transportu i przechowywania. A przyjeżdżają co tydzień lub częściej.

Co nazywacie sprawiedliwą ceną?

– Taką, która wlicza czas pracy rolnika, generalnie pomijany w rolnictwie. Nie mamy algorytmu do wyliczania takiej ceny. Ale to taka, na którą zgadzają się obie strony, która satysfakcjonuje wytwórcę i w jego ocenie daje mu godny zarobek i możliwość funkcjonowania. To też cena niezmienna, żeby rolnik czuł się bezpiecznie.

Sprawiedliwa jest też względem jakości produktu. Na przykład ekologiczny produkt, który się łatwo nie psuje, jest wart wyższej ceny. Oferty rolników oceniamy indywidualnie.

To chyba nijak ma się do tego, że w Polsce wciąż lubimy kupować przede wszystkim dużo i tanio. A teraz jeszcze szaleje inflacja.

– Co do niej, to oczywiście też nas dotyka. Ale ceny ekologicznych warzyw i owoców rosną wolniej, bo to rynek alternatywny i nie zależy od giełdy. Choć ostatnio przyspieszają.

To niepopularne stwierdzenie, ale jeśli jakiś produkt jest drogi, ale wysokiej jakości, to może po prostu opłaca się go jeść mniej i rzadziej, ale ze świadomością, że po drodze nie ucierpieli rolnicy i że produkcja była neutralna dla środowiska. I że wyższa cena odzwierciedla troskę o proces produkcji i nasze wartości.

Dyskonty mają tanią żywność m.in. dlatego, że czerpią z rynków międzynarodowych i mocno zaniżają ceny. Produkt mogą zamó-

• **Nina Józefina Bąk z Kooperatywy Dobrze**

FOT. ADAM STĘPIEŃ /
AGENCJA WYBORCZA.PL



wić z niemal dowolnego miejsca na świecie, gdzie w danym momencie jest najtańszy. Stąd mamy ziemniaki z Malty i truskawki z Izraela. A u nas rządzi sezonowość. Owoc będzie później i droższy. Truskawki mamy latem od 14 zł za kg dla członków Kooperatywy i 18 zł za kg dla klientów, marchew od 3,50 zł za kg dla członków i 5,50 zł za kg dla klientów. W sezonie ceny zmieniają się jednak z tygodnia na tydzień.

Gdy mówię komuś o Kooperatywie, ludzie odczytują ją jako formę aktywizmu, hipsterską akcję. A tak naprawdę to rentowny biznes.

– Bo nasz model, członkowski i otwarty dla klientów z zewnątrz, to strzał w dziesiątkę. Mamy około 500 członków i członkiń, którzy płacą 30 zł składki miesięcznie i odprowadzają 3 godz. dyżuru w miesiącu. Dostają ceny o 25 proc. niższe w zamian za zaangażowanie, a jednocześnie zapewniają w sklepie obroty. Są zmotywowani, by robić w naszych sklepach zakupy, skoro zapracowali na niższe ceny pracy i składki. Zapewniają obrót surowca, są gwarantem klienta, dają pewny przychód i pokrycie kosztów. Dzięki temu codziennie możemy mieć kilka dostaw żywności i ona schodzi. Korzysta też rolnik, który ma zapewniony nieustający rynek zbytu.

Dalibyście radę przetrwać tylko na zakupach członków?

– Nie, bo nie zarabiamy na nich, tylko klientach z zewnątrz, którzy płacą ceny rynkowe. Inaczej nie bylibyśmy w stanie zaopatrywać się w tak duże ilości świeżej żywności, która jest naszym atutem i która przyciąga klientów płacących więcej. Do istnienia Kooperatywy potrzebne są więc obie grupy, a bez jednej z nich zbankrutowałyby.

Jak doszłście do takiego modelu?

– W latach 2011-12 należałam do Warszawskiej Kooperatywy Spożywczej, ale ona działała w małej skali, robiąc grupowe zamówienia od rolników raz na dwa tygodnie i tylko dla członków. Bardzo mi się to podobało, ale szybko dostrzegłam, że taki model mało zmienia. Małe zakupy to mały wpływ, zarówno dla konsumentów, jak i dla rolników. Marzył mi się sklep. W 2013 roku zaczęłam zbierać chętnych do tworzenia nowej Kooperatywy, która zwiększy skalę.

Gdy zaczynaliśmy, mieliśmy tylko kontakty do rolników. Jedynym kapitałem był zapal kilku osób, które wierzyły w mój pomysł i powoli przekonywały kolejne. Nie mieliśmy pieniędzy, zebraliśmy na start kilkanaście tysięcy złotych, w kampanii crowdfun-

dingowej. Daliśmy sobie rok, żeby zobaczyć, czy się uda. Nie było wielkich inwestycji, rośliśmy organicznie, bez żadnych grantów i pożyczek. W końcu nasze dwa sklepy osiągały 4 mln zł obrotów rocznie.

Świetnie to wszystko działało aż do pandemii.

Dlaczego?

– Ucierpiał przede wszystkim nasz mniejszy sklep na ul. Wilczej. Myślę, że dlatego, że klientami byli głównie pracownicy biur w okolicy, a w pandemii przestali przychodzić. Do tego to mały sklep, więc obsługiwaliśmy tam mniej klientów. Jednocześnie wzrosły nam koszty, bo zawiesiliśmy dyżury i zatrudniliśmy pracowników. Dzięki temu rotacja w sklepach była mniejsza i nie narażaliśmy członków dyżurujących.

W pandemii odeszła też od nas część członków, co pogłębiło straty.

A sklep internetowy?

– Prowadziliśmy go przez kilka miesięcy, ale nie mieliśmy pieniędzy, by w niego inwestować, żeby był profesjonalnym kanałem sprzedażowym, więc zrezygnowaliśmy.

Pandemia przyspieszyła decyzję o zamknięciu sklepu na Wilczej. Znaleźliśmy nowy lokal na al. Niepodległości 88 i otwieramy go na początku listopada. Sklep będzie dużo większy, a do tego to okolica, gdzie mieszka więcej ludzi niż w okolicy Wilczej.

Skoro wasze sklepy mogą być rentowne przy tak małej skali, to przy większej też? Czy to możliwe, by Kooperatywa stała się znaczącą siecią handlową?

– Rozważaliśmy kilka scenariuszy wzrostu. Jeden pomysł to supermarket Kooperatywy z dużym asortymentem, na dużej przestrzeni, przy wsparciu kilku tysięcy członków. Ale taka przestrzeń po cenach rynkowych

jest nieosiągalna, miasto musiałoby chcieć nas wesprzeć.

Myślimy też o modelu franczyzy społecznej. Czyli o zaproszeniu różnych społeczności i sklepów do wprowadzenia naszego modelu, otwarcia minikooperatyw „Dobrze”. Kluczowa byłaby logistyka i obsługa dostaw. Być może konieczne byłoby wtedy otwarcie hurtowni, w której zaopatrywałyby się sklepy, tak żeby dostawcy przywozili towary tam, a nie jeździli z nimi do sklepów w całej Warszawie.

To co zamierzacie?

– Oba modele wymagają pomocy inwestora. Ale znalezienie go nie będzie łatwe, bo musiałby zgodzić się na status członka spółdzielni. To oznacza, że choć inwestor otrzyma zysk proporcjonalny do wkładu finansowego, to nie będzie miał proporcjonalnie dużej decyzyjności. Bo w spółdzielni każdy jej członek ma jeden głos w podejmowaniu decyzji, a nie tyle, ile wynika z wielkości inwestycji.

Potrzebujemy więc inwestora z poczuciem misji, który się na taki model zgodzi. I nie będzie parł na szybszy rozwój i szybsze zyski, bo nasze działanie jest nastawione na długofalowy wzrost, nie gwałtowny. I zależy nam na pilnowaniu naszych celów.

Znacie przypadki, że taki inwestor się znalazł?

– Za granicą tak, w Polsce nie. W kraju jedną z możliwości jest crowdsourcing zakładający wielu rozproszonych udziałowców. Ale ta formuła nie jest do końca kompatybilna z prawem spółdzielczym z 1982 roku, które uniemożliwia m.in. zakup udziałów członkowskich przez platformę internetową.

W reklamach firmy deklarują, że wszystko lokalne, świeże i ekologiczne. Chyba lubimy myśleć o polskiej żywności jako o zdrowszej, lepszej.

– Polski patriotyzm żywnościowy jest bardzo naiwny. To mit i myślenie życzeniowe, że polska żywność jest lepsza od zachodniej. Nikt nie ma kontroli nad tym, ile nawozów i środków ochrony roślin jest wykorzystywanych w uprawach, prócz gospodarstw ekologicznych. Ale tych nie ma wiele i choć hasła o ekologicznej, lokalnie produkowanej żywności są modne, to takie uprawy są wręcz w odwrocie. Według raportu NIK w latach 2014-19 liczba producentów ekologicznych w Polsce spadła o 19 proc., z ok. 25,5 tys. do 20,5 tys.

Co ciekawe, podwoiła się liczba przetwórnictwa ekologicznego, ale to dlatego, że wzrósł import ekologicznych surowców. Nie skorzystała na tym polscy rolnicy. ●

Sprawiedliwa cena? Nie mamy algorytmu do jej wyliczania. Ale to taka, na którą zgadzają się obie strony, która satysfakcjonuje wytwórcę i w jego ocenie daje mu godny zarobek i możliwość funkcjonowania

Anna Popiołek

To oferta skierowana do młodych rodziców, którzy – jak mówił premier Mateusz Morawiecki – mają zdolność do płacenia regularnego czynszu za najem mieszkania, ale brak im pieniędzy na wkład własny. Z rządowych szacunków wynika, że na taki prezent załapie się ok. 80 tys. osób.

Na czym to dokładnie ma polegać? Młodzi nie będą już musieli ciulać latami na wkład własny, oszczędzić kilkadziesiąt tysięcy złotych – minimum 10 proc. wartości nieruchomości. To Bank Gospodarstwa Krajowego ma być poręczycielem brakującego wkładu własnego. Kredytobiorcy nie dostaną jednak tych pieniędzy do ręki, a cały kredyt hipoteczny zostanie po prostu powiększony o tę kwotę. Dopiero w razie problemów ze spłatą BGK odda bankowi gwarantowany wkład własny. Jego maksymalna wysokość to 100 tys. zł, ale nie więcej niż 20 proc. wartości nieruchomości.

Skąd taki pomysł? Nieruchomości drożeją w rekordowym tempie. Ceny mieszkań i domów rosną szybciej niż wynagrodzenia Polaków, mimo że te są napędzane rekordowymi podwyżkami cen wszystkich produktów i usług. Przez to spada liczba metrów kwadratowych, które można kupić za przeciętne wynagrodzenie.

KTO ZAŁAPIE SIĘ NA PREZENT OD PIS?

Są też liczne obostrzenia i wykluczenia, żeby dostać takie wsparcie od państwa. Jakie? Kredyt musi zostać zaciągnięty na minimum 15 lat i wyłącznie w walucie polskiej. Ta opcja będzie niedostępna dla bezdzietnych. O wsparcie mogą się starać wyłącznie małżeństwa lub osoby samotnie wychowujące dzieci.

Kolejny warunek: kredyt z gwarancją ma być dostępny na zakup tylko pierwszej nieruchomości. Jeśli ktoś z ubiegających się o kredyt jest właścicielem mieszkania lub domu, nie ma co liczyć na państwową gwarancję. Wyjątek? Zarówno gwarancję wkładu własnego, jak i dopłaty będzie można uzyskać, nawet jeśli jest się szczęśliwym posiadaczem jednej nieruchomości, ale pod warunkiem, że kredytobiorcy mają przynajmniej dwoje dzieci. Są limity co do powierzchni: przy dwojce dzieci to 50 m kw., przy trójce – 75 m kw., a przy czwórce – 90 m kw. W przypadku piątki lub większej liczby dzieci nie ma limitu powierzchni.

A to nie koniec finansowych prezentów. Dodatkowo nagradzani będą ci kredytobiorcy, którzy mają dużo dzieci. Gdy dłużnikom urodzi się drugie dziecko (pierwsze jest warunkiem skorzystania z gwarancji), BGK spłaci za rodzinę 20 tys. zł. Za trzecie i każde kolejne dostaną po 60 tys. zł. A to – w odróżnieniu od samej gwarancji wkładu własnego – realne pieniądze, które zmniejszą dług wobec banku.

I największa przeszkoda w uzyskaniu gwarancji wkładu. – Jednym z kluczowych elementów będzie to, czy zmienione zostaną zasady ustalania limitów cen. Jeśli senatorowie pozostawią zasady uchwalone przez Sejm, to np. w Szczecinie czy Krakowie trudno znaleźć jakiegokolwiek mieszkanie spełniające warunki programu – komentuje Jarosław Sadowski z Expandera. Jak liczy, w Krakowie na rynku wtórnym limit będzie aż 31 proc. niższy niż cena na rynku, a na rynku pierwot-



Niedźwiedzia przysługa rządu

Młodzi rodzice nie będą już musieli oszczędzać na wkład własny – to pomysł PiS na wsparcie w zakupie pierwszego mieszkania. Efekt? Teraz nie muszą oszczędzać, ale za to będą musieli spłacać dużo większe kredyty.

nym o 25 proc. W Szczecinie to odpowiednio mniej o 31 proc. i 22 proc.

Ale nawet w Warszawie, gdzie mają obowiązywać najwyższe limity w Polsce, bardzo trudno będzie znaleźć mieszkanie na rynku wtórnym. Limit wyniesie bowiem 8958 zł za m kw., czyli aż o 28 proc. mniej niż przeciętna cena we wrześniu tego roku według danych Rentier.io.

Z kolei w Katowicach trudno znaleźć nowe mieszkanie mieszczące się w limicie – wyniesie on 6972 zł za m kw., czyli będzie aż o 21 proc. niższy niż przeciętne ceny wystawiane przez deweloperów. Najgorsza sytuacja na rynku pierwotnym będzie jednak w Łodzi, gdzie limit wyniesie 6075 zł za m kw., a więc aż o 26 proc. poniżej przeciętnej ceny w ofertach deweloperów.

EKSPERCI BIJĄ NA ALARM

Czy to dobry pomysł? W odróżnieniu od poprzednich programów pomoc państwa nie będzie miała wymiernego charakteru finansowego, lecz jedynie zabezpieczy interes banku na wypadek trudno-

ści w spłacie zobowiązania przez nabywcę. A to oznacza, że kredytobiorca musi spłacić pełną kwotę.

W przypadku korzystania z rządowych gwarancji zmienia się więc kwota kredytu. Jak nie mamy wkładu własnego, to mamy mniej pieniędzy do dyspozycji i albo musimy kupić tańsze mieszkanie, albo wziąć większy kredyt. A to może być jeszcze większy problem, bo dla takich klientów banki i tak mogą obniżyć wyliczaną zdolność kredytową.

A teraz i tak zdolność kredytowa obniży się przez podwyżki stóp procentowych – potencjalni klienci będą musieli płacić wyższe raty, więc ich zdolność automatycznie spadnie.

Na tym jednak nie koniec. Mimo rządowych gwarancji zawsze większą wiarygodność kredytową ma ten klient, któremu udało się odłożyć pieniądze na wkład własny, niż osoba, która nie ma żadnych swoich oszczędności. Powód? Ta druga opcja to dla banku większe ryzyko, więc oprócz podwyższenia oprocentowania dla takiego klienta udostępni mu też mniejszy kredyt. Bo jeśli przez lata nie udało mu się odłożyć kilkudziesięciu tysięcy złotych, nie wiadomo, czy da radę spłacać zobowiązanie w banku. Z drugiej strony pieniądze na wkład własny nie świadczą o tym, że potrafimy oszczędzać – mogliśmy pożyczyć je od rodziny, odziedziczyć – ale to już banków nie interesuje.

Wątpliwości co do tego programu PiS ma NBP. Bank centralny uważa, że możliwość oferowania kredytu na cele mieszkaniowe w kwotach powyżej limitów ostrożnościowych LTV stoi w sprzeczności z celem wprowadzenia ich przez Komisję Nadzoru Finansowe-

go. „Należy liczyć się z możliwością powstania niezamierzonych przez ustawodawcę konsekwencji w postaci osłabienia w dłuższym okresie stabilności systemu finansowego” – przestrzega bank centralny.

Choć w tym przypadku to bardziej gra polityczna i konfrontacja na linii Adam Glapiński – Mateusz Morawiecki, to rzeczywiście gwarantowany wkład własny może być pewnym problemem i dla kredytobiorców, i dla banków.

Jacek Furga, przewodniczący Komitetu Finansowania Nieruchomości w Związku Banków Polskich: – To niedźwiedzia przysługa dla młodych osób. Kredyt bez „własnego” wkładu własnego będzie droższy, czyli z wyższą marżą banku, nawet o 2 pkt proc. Poza tym będzie spłacany dłużej, co oznacza dłuższy okres naliczania odsetek. To też otwarcie się na klientów mniej wiarygodnych finansowo, bo takich, którzy nie zdołali zaoszczędzić własnych pieniędzy.

I dodaje: – Nie można promować osób, które wybierały konsumpcję, a nie oszczędzanie. Lepiej odjąć sobie od ust, zrezygnować z zagranicznych wakacji i uzbierać wkład własny. Oczywiście wszystko zależy od tego, jak do takich klientów podejść banki. Ale wtedy sprawa rozstrzygnie się na dole, wśród doradców kredytowych, sprzedawców i analityków, którzy – chcąc dostać premie – mogą sprzedawać kredyty bez wkładu własnego klientom mniej wiarygodnym.

PO CO JEST WKŁAD WŁASNY

Przypomnijmy, po co tak właściwie kredytobiorcy muszą oszczędzać na

• **Warszawa, budowa osiedla**

Wiśłany Mokotów FOT. DARIUSZ

BOROWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

wkład własny. To nie jest widzimia się banków czy tylko formalny przepis, lecz skutek wielkiego kryzysu z 2008 r. wywołanego przez banki udzielające złych kredytów. Komisja Nadzoru Finansowego tym samym chciała bowiem zapewnić zarówno bezpieczne działanie banków, jak i ochronę posiadaczy depozytów, którzy de facto pożyczają pieniądze tym, którzy zadłużają się w bankach.

W 2013 r. weszła w życie rekomendacja S, czyli zalecenia dla banków, na jakich warunkach mogą udzielać kredytów hipotecznych. Nadzorca postanowił wtedy, że banki nie mogą udzielać kredytów bez wkładu własnego. Chodzi tu o wskaźnik LTV (ang. loan to value), który określa, ile pieniędzy bank może pożyczyć klientowi przy uwzględnieniu wartości zabezpieczenia kredytu (najczęściej to kredytowana nieruchomość). Wcześniej banki udzielały kredytów na 100 proc. (a nawet więcej) wartości domu lub mieszkania.

Przykład? Jeśli rzeczoznawca wycenił mieszkanie np. na 300 tys. zł, klient mógł tyle dostać (jeżeli miał zdolność kredytową). W praktyce maksymalny poziom LTV wynosił z reguły 80 proc. wartości nieruchomości, ale jeśli klient na pozostałe 20 proc. wykupił ubezpieczenie niskiego wkładu własnego, bank finansował całą inwestycję.

NA PROGRAMIE STRACĄ POZOSTALI

To nie koniec negatywnych konsekwencji tego programu. Kilkadzieсят tysięcy osób rzeczywiście może otrzymać łatwiejszy dostęp do kredytu, ale pozostali, którzy się nie załapią, będą cierpieć z powodu jeszcze wyższych cen mieszkań.

A już teraz ceny nieruchomości są na rekordowych poziomach. Trudno dziś znaleźć miasta, w których stawki faktycznie spadają. Wszystko to dzieje się dlatego, że chętnych do zakupu mieszkań jest więcej niż dostępnych lokali. Nieruchomości drożeją od wybuchu pandemii na całym świecie, co analitycy tłumaczą niskimi stopami procentowymi. Inwestorzy kupują nieruchomości, by zabezpieczyć kapitał, ci, co go nie mają, mogą skorzystać z taniego kredytu.

Już teraz coraz więcej nieruchomości nie jest kupowanych na własne cele mieszkaniowe, lecz w celach inwestycyjnych. Zarówno spekulacyjnych (oczekiwanie wzrostu wartości nieruchomości), jak i otrzymywania stałych środków z aktywu (dochód z wynajmu). Powodem jest też brak alternatyw inwestycyjnych dla osób, które nie chcą inwestować na rynku finansowym przy ujemnych realnych stopach zwrotu na depozytach i obciążeniach skarbowych nieindeksowanych do inflacji.

I dlatego NBP podkreśla, że wspieranie zakupów mieszkaniowych osób, które nie mają odpowiedniego wkładu własnego, wykreuje dodatkowy popyt, co rodzi ryzyko „dalszego zwiększenia presji cenowej na bardzo dynamicznym rynku mieszkań, na którym obecnie podaż może nie być w stanie podążać za wciąż rosnącym zapotrzebowaniem”. ●

Studia biznesowe w pande

PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK

JUTRONAUCI · 2021
NOWA NORMALNOŚĆ

Komu są potrzebne studia Master of Business Administration (MBA) i czego można się na nich nauczyć? O nowych pomysłach na edukację młodych przedsiębiorców z prof. Rafałem Mrówką, dyrektorem biura programów MBA w Szkole Głównej Handlowej, rozmawia Vadim Makarenko.

VADIM MAKARENKO*: Szkoła Główna Handlowa wraz z Kulczyk Investments uruchomiły niedawno studia MBA dla młodych przedsiębiorców, w tym takich, którzy dopiero decydują się na założenie start-upu. To bardzo ciekawy eksperyment. Np. kiedyś mówiło się, że założenie własnej firmy jest dużo lepsze od MBA, bo gwarantuje szybki kurs w różnych dziedzinach: podstawach rachunkowości, badaniach rynku, negocjacjach. Co się stało na rynku, że powstają studia dla twórców start-upów, dla młodych ludzi, którzy w zasadzie dopiero będą przedsiębiorcami?

RAFAŁ MRÓWKA**: Obserwujemy start-upy, które działają na rynku, i widzimy, że często brakuje im takiego szlif, uporządkowania wiedzy. Oczywiście, młodzi przedsiębiorcy mogą się tego nauczyć indywidualnie, mogą się nauczyć, prowadząc swój pierwszy biznes, ponosząc pierwszą porażkę. Ale mogą też tę pierwszą lekcję odróbić z nami, zapisując się na program MBA w Szkole Głównej Handlowej. Mogą zapisać się na zajęcia, które pozwolą im te pierwsze błędy popełnić podczas projektów realizowanych - wspólnie z innymi kolegami, ze start-upowcami - na zajęciach. Pozwolą im zrobić to tak, żeby łatwiej prowadzić biznes w prawdziwym życiu.

Ale koncepcja MBA kojarzy nam się raczej z drogimi studiami dla menedżerów w wielkich firmach. Ile kosztują wasze studia dla młodych przedsiębiorców?

– Te studia nie są tanie, bo to jest 37 900 zł. To mniej więcej o jedną trzecią mniej niż standardowe studia MBA. Ale żeby studia były rzeczywiście dobrze przeprowadzone, żebyśmy mogli zatrudnić najlepszych ekspertów, niestety muszą tyle kosztować. Można znaleźć na rynku studia, które się nazywają studiami MBA, ale poza nazwą nie mają wiele wspólnego z MBA – za 5, 10, 15 tys. zł. Wiem, że w takich studiach nie uda się spiąć budżetu, żeby to było efektywne, żeby zatrudniać rzeczywiście ekspertów.

Ale z drugiej strony, mając świadomość, że to są młodzi ludzie, którzy często dopiero startują swoje biznesy, dajemy im możliwość podzielenia tego nawet na 12 rat. Co oznacza, że to się robi kwota nie 37 900 zł, ale np. w granicach 3000 zł co dwa miesiące.

Kiedyś poznałem Shlomo Yanaia, który był prezesem Tevy. Wcześniej był generałem w wojsku izraelskim, potem poszedł na MBA, wszedł do branży chemicznej, kierował przedsiębiorstwem produk-



Wierzmy w różnorodność. Że w programach MBA im bardziej różnorodna grupa studentów, tym ciekawiej, efektywniej wymienia się doświadczenia

jącym nawozy. Przed takim przekwalifikowaniem z wojska do nawozów został wysłany na MBA. Tak wyobrażam sobie klasycznego słuchacza takiego klasycznego programu. A kim jest wasz wymarzony student?

– Na pewno jest to osoba, która ma już pewne doświadczenie w biznesie. Nie chcielibyśmy, żeby nasi studenci uczyli się podstaw myślenia biznesowego u nas, stąd wymogiem formalnym dla naszych studentów jest przynajmniej trzyletnie doświadczenie zawodowe. Niekoniecznie doświadczenie w start-upach, niekoniecznie z własną firmą, to może być doświadczenie również korporacyjne. Ale chcielibyśmy, żeby taki młody człowiek miał już pierwsze szlify.

Co to są pierwsze szlify? Czy ma je osoba, która przez trzy lata pracowała na jakiejś juniorskiej pozycji w wielkim koncernie, czy robiła może stronę internetową dla takiego koncernu? Co to jest za człowiek?

– Bardzo różnie. Nawet jeżeli pracuje na juniorskiej pozycji w korporacji, tak czy inaczej musi obcować z ludźmi, uczyć się współpracować z nimi. Musi przynajmniej obserwować pewne szersze procesy dziejące się wewnątrz organizacji. Oczywiście ja bym wolał, żeby osoby, które do nas przychodzą, miały też już przygody związane z prowadzeniem swojego przedsiębiorstwa. Zetknęły się już z jakimiś klientami, próbą sprzedaży, musiały zapłacić jakieś podatki i widziały, jak czasami jest to trudne i skomplikowane, musiały policzyć jakieś wskaźniki finansowe. Zatem ten trzyletni okres jest takim okresem minimalnym, ale rzeczywiście to są takie pierwsze szlify.

Na pewno szukamy osób, które mają w sobie pewną żylkę przedsiębiorcy. Albo już coś

zaczęły robić w swoim biznesie, albo przynajmniej widzą tam swoją przyszłość. Chcą założyć swój własny biznes i wziąć odpowiedzialność za zarządzanie tym biznesem.

Czyli powinny być to osoby, które już mają jakiś pomysł. Niekoniecznie jeszcze bardzo precyzyjny, bardzo sprofilowany, bo też w trakcie tych studiów – przy wsparciu naszych mentorów, wykładowców – ten pomysł będzie szlifowany. Ale przynajmniej jakaś pierwsza idea powinna być. I taka pewność, że to jednak jest własny biznes, a nie praca dla dużej korporacji.

Jest też wymóg formalny – ukończenie przynajmniej studiów licencjackich lub inżynierskich i trzy lata doświadczenia, które liczymy od momentu ukończenia tych studiów. Wymogiem formalnym jest również znajomość komunikatywna języka polskiego i angielskiego. Celowo mówię też o polskim, dlatego że grupą docelową tych studiów mogą być również osoby z krajów ościennych, szczególnie ze Wschodu. Jest to dosyć duża grupa ludzi, ale są też i z pochodzenia Polacy mieszkający za granicą. Oni chcieliby takie studia podjąć teraz zdalnie w Polsce. Język angielski natomiast jest wymogiem ze

względu na to, że przynajmniej część kursów jest prowadzona w tym języku.

A czy są jakieś preferencje co do branż, jest to program profilowany?

– Wierzmy w różnorodność. Że w programach MBA im bardziej różnorodna grupa studentów, tym ciekawiej, efektywniej wymienia się doświadczenia. Dlatego tu nie ma preferencji dla jakiejś branży, chociaż oczywiście spodziewałbym się, że duża część naszych studentów to będą ludzie, którzy myślą o start-upach technologicznych. Ale to jest bardziej odpowiedź na potrzeby dzisiejszego rynku i naszą rzeczywistość niż jakaś bardzo silna preferencja. Zresztą mam poczucie, że nawet te biznesy, których się nie uznaje za bardzo technologiczne, w zderzeniu z technologią, z osobami innowacyjnymi, twórczymi mogą się bardzo rozwijać. Te studia to przede wszystkim wymiana wiedzy, wzajemne inspirowanie się, uczenie się od innych studentów i od mentorów.

Dochodzimy do bardzo istotnego punktu. Dziś są to studia całkowicie zdalne, a jeszcze półtora roku temu trudno było sobie

Jutronauci 2021. Nowa normalność

• Wyzwania, które postawił przed nami rok 2020, trwają i stały się codziennością. Chcemy o nich opowiedzieć inaczej niż do tej pory. Jak zawsze wybiegamy w przyszłość, ale w tej jubileuszowej, piątej edycji nie pytamy: „Co się zdarzy?”, lecz: „A co, jeśli...?”.

Na Wyborcza.pl/jutronauci oraz na łamach Wyborczej czekają na Państwa podcasty, eseje i analizy. W tym roku co miesiąc zaprosimy was także do spotkania Jutronauci Talks – na żywo online.

W serwisie Wyborcza.pl/Jutronauci zastanawiamy się, czy rzeczywistość wirtualna może pomóc w leczeniu problemów i cho-

rób psychicznych. Pracują nad tym polscy badacze z całkiem obiecującymi wynikami – Polacy leczą w ten sposób m.in. parkinsona i fobie.

A w serwisie Wyborcza.pl/podcast znajdziecie Państwo rozmowę z dr Małgorzatą Bulaszewską, która tłumaczy, czym jest metawersum i po co tworzyć nowy internet. W ostatnich tygodniach takie plany ogłosiło co najmniej kilku ważnych graczy, m.in. Facebook czy Microsoft. Czy metawersum to przyszłość naszego internetu?

Jak przez minione cztery lata naszym i Państwa partnerem w tej podróży jest Sebastian Kulczyk. Nasze

wcześniejsze próby kreślenia scenariuszy możecie znaleźć w książce „Jutro jest teraz”. ●



Książka dostępna na **Kulturalnysklep.pl** i w formie e-booka na **Publio.pl**

PARTNER WSPIERAJĄCY:

FANUC

mii

coś takiego wyobrazić. Ważną cechą każdego programu MBA była możliwość takiej – jak to się mówi na Zachodzie – dekompresji na kampusie. Ludzie przyjeżdżali na uczelnię, odcinali się od zgiełku korporacji i oddawali przyjemnościom intelektualnym: obcowania z wykładowcami, z kolegami z różnych branż i innych firm. Co się dzieje z tym wszystkim w trybie zdalnym?

– To było wyzwanie półtora roku temu. Z naszej perspektywy wręcz czynnik niewyobrażalny. Ale półtora roku pandemii bardzo dużo zmieniło, również z perspektywy osób uczących w programach MBA. Nauczyliśmy się prowadzić zajęcia zdalnie w taki sposób, że one w dalszym ciągu są bardzo interaktywne. Opierały się na dyskusjach, na wymianie poglądów, na pracy projektowej. Również pracy projektowej po zajęciach, gdy studenci odrabiają tę przysłowiową pracę domową, czyli muszą przygotować jakieś rozwiązanie, które zaprezentują np. na zajęciach.

I nasze doświadczenie jest takie, że jesteśmy w stanie prowokować ogromnie dużo takiej bardzo intensywnej pracy w małych zespołach, gdzie nie tylko następuje przepływ wiedzy, ale budują się też nieformalne relacje. Absolutnie mamy świadomość, że studia MBA to jest duży networking i chcemy go zapewnić. A ten networking bardzo trudno się zapewnia, prowadząc wyłącznie wykłady i zajęcia w dużych grupach. Ale jest to do rozwiązania i to się udaje dobrze robić, jeżeli działamy w mniejszych grupach.

Proszę też pamiętać, że chcemy robić program wprawdzie online’owy, ale całkowicie synchroniczny. To znaczy, na każdych zajęciach studenci widzą się cały czas, rozmawiają ze sobą, wchodzą w interakcje. To się przekłada potem na dobrą integrację.

Zastanawiam się tylko, jak żywotne są potem te relacje.

– Uspokoję pana troszeczkę. Oczywiście oprócz tych zajęć, projektu, bardzo intensywnej współpracy, będziemy też prowokowali spotkania fizyczne. Będziemy zachęcali do nich studentów, współorganizowali je. Po tych dwóch latach obcowania ze sobą okaże się, że to będą nie tylko relacje z Zooma czy z Teamsa, ale również z tych nieformalnych spotkań. Przy czym nie chcemy wymuszać obowiązkowej obecności na każdym z nich. To pewien rodzaj dodatkowej inwestycji. Ale jesteśmy przekonani, że to zadziała.

A z drugiej strony warto pamiętać, że współczesny świat po pandemii będzie światem bardziej skierowanym ku współpracy zdalnej. Nauczyliśmy się wykorzystywać te narzędzia bardzo efektywnie.

Z nazwy można wywnioskować, że wasz program jest profilowany dla młodych przedsiębiorców, dla start-upów, są programy dla biznesu rozrywkowego, biznesu finansowego. Czy to jest istotnie inne niż tradycyjny, klasyczny MBA, który do tej pory państwo oferowaliście?

– Zacznę od tego, że jestem przeciwnikiem bardzo profilowanych programów. To brzmi jak zaprzeczenie samemu sobie, ale – wbrew pozorom – tak nie jest. Wprawdzie ten program jest profilowany na start-upy, przedsiębiorców – głównie młodych (ale uspokajam, że będę chciał zachować też pewną różnorodność, jeżeli chodzi o wiek), to tak czy inaczej grupa docelowa jest bardzo szeroka. Start-upy mogą być z tak różnych obszarów. Rozmawialiśmy wcześniej, że nie tylko technologia, ale też bardziej tradycyjne biznesy, że w efekcie to będzie program, gdzie każdy z tych studentów będzie inny, każdy wniesie zupełnie inne doświadczenie. Aczkolwiek rzeczywiście jest pewien element wspólny, coś, czego chcemy nauczyć właśnie startupowców, przedsiębiorców i dlatego dla nich jest przeznaczony ten program. To jest ta specyfika: najpierw tworzenie pewnej idei biznesu, potem jej szlifowanie, skalowanie, rozmawianie z inwestorami, zatrudnianie pierwszych pracowników. Podejmowanie pierwszych decyzji co do formy prawnej, co do obszaru działalności, np. czy tylko Polska, czy skala międzynarodowa, jak szybko dokonać ekspansji międzynarodowej, jak potem negocjować np. sprzedaż takiego biznesu potencjalnemu inwestorowi.

Jest bardzo dużo elementów specyficznych dla tej grupy, ale z drugiej strony grupa jest tak szeroka i tak różnorodna, że jestem spokojny, że moje umiłowanie dla różnorodności nie ucierpi przy prowadzeniu tego programu. ●

Rozmawiał Vadim Makarenko

Jak wybrać korepetytora

Znalezienie dobrego korepetytora nie jest łatwe.

Najlepsi mają kalendarze wypełnione po brzegi już przed wakacjami.

Justyna Sobolak

Rynek korepetycji jest rozgrzany do czerwoności od września do czerwca. Tylko przez dwa miesiące pauzuje, choć i wtedy telefony korepetytorów nie milkną. Wielu już na długo przed rozpoczęciem roku szkolnego ma wypełnione kalendarze.

FATALNE SKUTKI EDUKACJI ZDALNEJ

Rodzice stale poszukują wsparcia dla swoich dzieci. Tym bardziej, gdy wiadomo już, jak bardzo nieefektywne jest nauczanie zdalne. – Pandemia COVID-19 radykalnie zmieniła rzeczywistość edukacyjną w Polsce. Przede wszystkim ujawniła bariery związane z deficytem kompetencji po stronie nauczycieli i uczniów w zakresie wykorzystywania narzędzi cyfrowych. Do tego nierówny dostęp do infrastruktury, konieczność współdzielenia sprzętu przyczyniają się do wzrostu luki edukacyjnej – mówi Ignacy Świąćicki, kierownik zespołu gospodarki cyfrowej Polskiego Instytutu Ekonomicznego.

W raporcie „Cyfrowe wyzwania stojące przed polską edukacją”, przygotowanym przez PIE, aż 62 proc. uczniów oceniło zdalną formę nauczania jako nieefektywną. Tylko 8 proc. postrzega kompetencje nauczycieli w obszarze nauki zdalnej jako wysokie. Sami nauczyciele też nie mają o sobie zbyt dobrego mniemania. Aż 85 proc. zadeklarowało brak doświadczenia w wykorzystywaniu narzędzi nauki zdalnej.

Pandemia pokazała też nowy wymiar wykluczenia sprzętowego. O ile aż 97 proc. gospodarstw domowych dysponuje co najmniej jednym komputerem, to w momencie przeniesienia nauki do domu barierą okazała się konieczność współdzielenia sprzętu między uczącym się rodzeń-

stwem, ograniczenia przepustowości łącza lub limitowana wielkość miesięcznego transferu danych.

WSPARCIE POTRZEBNE NA JUŻ

Nic dziwnego, że teraz uczniowie odczuwają jeszcze większe kłopoty z przyswajaniem materiału. Rodzice szukają wsparcia, by pomóc dzieciom w nadrobieniu zaległości, ale i nadążaniu za realizowanym w szkole materiałem.

Pani Katarzyna zamieściła ogłoszenie kilka dni temu na jednej z lokalnych grup na Facebooku. Poszukuje korepetytora z matematyki dla nastoletniego syna. – Poszedł do 1 klasy liceum i nie radzi sobie z nauką. Znajomi dali mi kilka numerów telefonów, ale wszędzie słyszę, że nie ma już miejsc. Wciąż liczę, że uda mi się znaleźć nauczyciela – martwi się.

Najlepsi nauczyciele mają większość miejsc zajętych już w czerwcu. Resztę kandydatów dopisują w wakacje, by z pełnym składem ruszyć od września. To nie znaczy jednak, że rodzice i uczniowie, którzy korepetytorów szukają w trakcie roku szkolnego, są skazani tylko na kiepskich pedagogów.

– Warto zrobić dobry rekonesans, zanim podejmie się ostateczną decyzję dotyczącą współpracy. Dobrym sposobem jest umówienie się na lekcje próbne z kilkoma różnymi korepetytorami. Dzięki takim spotkaniom można sprawdzić, czy zadziała „chemia” pomiędzy uczniem a nauczycielem – radzi Magdalena Florczyk z serwisu e-korepetycje.net.

OPINIE INNYCH

Dobrze szukać korepetytorów, tak jak robi pani Katarzyna, zamieszczając ogłoszenia w mediach społecznościowych. Dzięki temu można uzyskać konkretne rekomendacje. Są też portale, na których zamieszczane są opinie o danym nauczycielu. Rodzice dzielą się doświadczeniami, spostrzeżeniami, polecają lub odradzają. Warto poświęcić też więcej czasu na zapoznanie się z doświadczeniem korepetytora.

– Bardzo istotną kwestią jest zakres oferowanych usług i dotychczasowe doświadczenie korepetytora. Jeżeli oferta obejmuje kilkanaście niepowiązanych ze sobą przedmiotów, zachodzi wątpliwość, czy faktycznie osoba ucząca jest specjalistą w każdej dziedzinie i gwarantuje rzetelny poziom nauczania. Niestety, nie zawsze tak jest – ostrzega Magdalena Florczyk.

Lekcje online są z reguły droższe niż stacjonarne. Np. średnia cena zajęć stacjonarnych z niemieckiego wynosi 46,82 zł, a za zajęcia online trzeba zapłacić 56,16 zł

Zwraca też uwagę, by przy wyborze korepetytora nie kierować się ceną. – Nie zawsze wyższa cena jednostkowa lekcji oznacza wyższy koszt całkowity nauki. Jeżeli korepetytor ma duże doświadczenie w pracy z uczniem, skuteczne metody przekazywania wiedzy, to będzie potrzebna mniejsza liczba zajęć, aby opanować dany zakres materiału – twierdzi.

ZAINTERESOWANIE BĘDZIE ROSŁO

Korepetytorzy nie muszą martwić się o popyt. Zainteresowanie ich usługami będzie rosło. Wiele szkół ponownie przechodzi w tryb zdalny. Na razie to indywidualne decyzje placówek, ale bardzo możliwe, że pojawi się polecenie odgórne.

„Rzeczywiście tak jest, że szkoły są miejscem, gdzie transmisja koronawirusa następuje. Trzeba zważyć i podjąć decyzję, która uwzględni wszystkie aspekty” – mówił niedawno w RMF FM minister zdrowia Adam Niedzielski.

Nie trzeba jednak lockdownu, by uczniowie potrzebowali wsparcia. Szkoły często nadal stawiają ucznia na ostatnim miejscu, na pierwszym – realizację materiału. Kto nie nadąży, ten musi szukać pomocy. ●

Ceny korepetycji z wybranych przedmiotów w 2021 r.						
Ceny w zł						
miasto	język polski	matematyka	język angielski	język niemiecki	informatyka	fizyka
Białystok	41,35	35,59	42,74	41,85	57,33	44,87
Bielsko-Biała	41,18	48,07	48,73	52,10	57,67	52,76
Gdańsk	43,69	40,23	48,59	47,78	56,19	51,87
Katowice	42,78	43,79	46,36	51,07	62,30	54,62
Kraków	43,80	40,97	46,85	47,53	62,52	50,49
Łódź	42,79	39,87	43,77	43,28	57,73	48,05
Opole	40,31	42,77	44,65	44,71	59,15	52,30
Rzeszów	41,29	38,97	43,56	42,00	54,25	48,52
Warszawa	50,57	49,98	54,68	54,60	68,45	58,17
Wrocław	42,68	40,74	47,51	47,90	55	47,52
© GAZETA WYBORCZA						
ŹRÓDŁO: E-KOREPETYCJE.NET						

Jarosław Kopeć
Katarzyna Korzeniowska

Żeby zrealizować cel osiągnięcia neutralności klimatycznej do 2050 r., musieliśmy co roku obniżać światowe emisje średnio o ok. 1,4 gigatonu CO₂. Czyli mniej więcej o tyle samo, o ile spadły w 2020 r., czyli w roku pandemii.

Tempo wzrostu emisji ze spalania paliw kopalnych osiągnęło szczyt w pierwszej dekadzie XXI w. na poziomie 3 proc. wzrostu emisji rok do roku. W ostatniej dekadzie wzrost stopniowo malał, osiągając w latach 2012-21 poziom 0,4 proc. rocznie. „Choć ten obecny spadek globalnych emisji ze spalania paliw kopalnych jest mile widziany, daleko mu do poziomu, przy którym uda się zrealizować cele wyznaczone w porozumieniu paryskim” – piszą autorzy. Należy przy tym pamiętać, że cel poniżej 2 stopni ocieplenia jest celem minimalnym. Osiągnięcie tego pulapu ocieplenia i tak spowoduje ogromne szkody.

CHIN PANDEMIA NIE DOTYCZY

W niektórych częściach świata odbicie emisji ze spalania kopalni w 2021 r. przekracza już spadek w 2020 r. Na przykład w Indiach. W Chinach z kolei nawet w 2020 r. obserwowaliśmy wzrost emisji.

W ostatnich latach tempo wzrostu emisji hamuje, ale nadal co roku jesteśmy na plusie.

Spadki tempa wzrostu emisji dwutlenku węgla ze spalania paliw kopalnych obserwują badacze m.in. w Stanach Zjednoczonych. Wiąza je z postępującą dekarbonizacją gospodarki, czyli spadkiem ilości emisji CO₂ potrzebnych do wygenerowania jednostki energii. Mówiąc prościej – coraz częściej energia w tych regionach pochodzi z czegoś innego niż spalanie paliw kopalnych, więc na każdy wat energii przypadają mniejsze emisje.

Z innych opracowań wiemy, że wzrost gospodarczy mierzony za pomocą PKB w wielu miejscach nie jest już tak wyraźnie powiązany ze zwiększeniem zużycia energii, jak to było wcześniej. Ale obniżenie tempa rozwoju gospodarczego w bogatszej części świata też pomaga w zmniejszaniu emisji.

Tymczasem w tej części świata, która nie wchodzi w skład OECD, tempo wzrostu emisji spadło z 5 proc. rocznie w pierwszej dekadzie XXI w. do ok. 1 proc. w ostatniej dekadzie. „W znacznej mierze za to spowolnienie w krajach spoza OECD odpowiadają Chiny, w których wzrost emisji spadł z 10 proc. rok do roku do 2 proc. rocznie”.

Polityka ekologiczna Chin – największego globalnego emitenta gazów cieplarnianych – jest szczególnie istotna dla światowego wysiłku odejścia od emisji dwutlenku węgla. Już od roku chiński rząd zapowiada osiągnięcie neutralności klimatycznej, czyli zbilansowania emisji z „wychwytywaniem” dwutlenku węgla z atmosfery, najpóźniej do 2060 r. Ale choć chiński rząd zapowiedział wycofanie się z finansowania inwestycji węglowych na świecie, wielu ekspertów pozostaje sceptycznych.

W ubiegłym roku na łamach „Natu-re” zaprezentowano analizę, z której wynika, że aby Chiny osiągnęły zamierzony cel, musiałyby w ciągu 40 lat szesna-

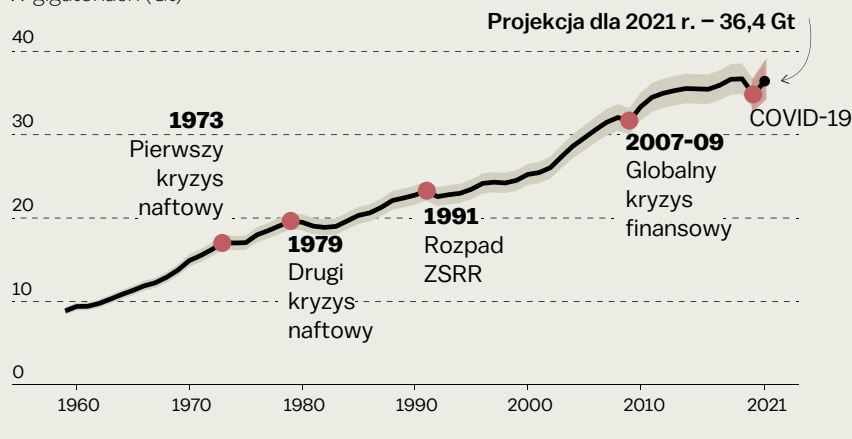
Klimat po pandemii

Emisje CO₂ znowu rosną

Naukowcy skupieni wokół Global Carbon Project przewidują, że w 2021 r. na całym świecie wyemitujemy do atmosfery ok. 36,4 gigaton CO₂ ze spalania paliw kopalnych. Emisje wrócą do poziomu sprzed pandemii.

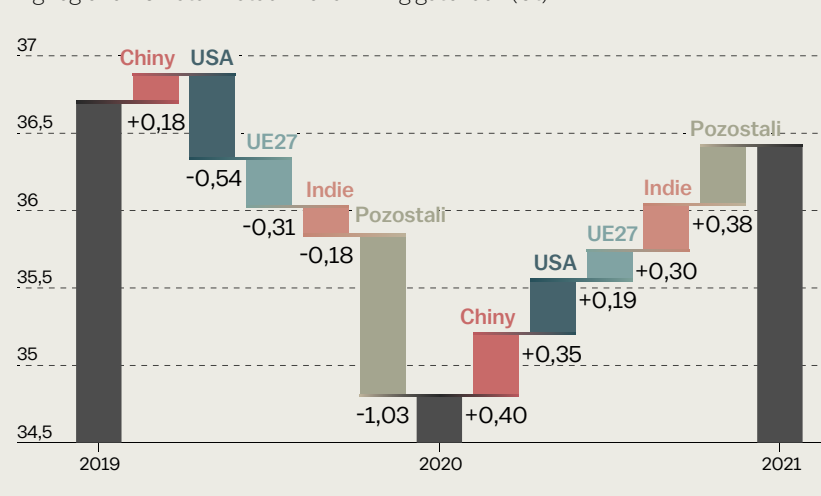
Roczne emisje CO₂ ze spalania paliw kopalnych na świecie

W gigatonach (Gt)



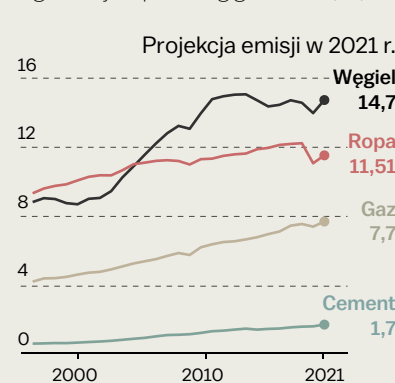
Zmiany w emisjach CO₂ ze spalania paliw kopalnych

Wg regionów świata w latach 2019-21 w gigatonach (Gt)



Roczne emisje ze spalania paliw kopalnych na świecie

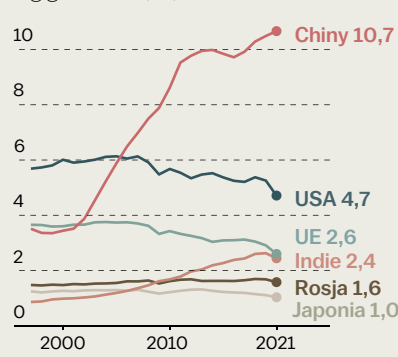
Wg rodzajów paliw w gigatonach (Gt)



© GAZETA WYBORCZA

Roczne emisje CO₂

Ze spalania paliw kopalnych i projekcja dla 2021 r. wg regionów świata w gigatonach (Gt)



ŹRÓDŁO: GLOBAL CARBON PROJECT

Biorąc pod uwagę dane dla lat 1850-2020, ze spalania paliw kopalnych trafiło do atmosfery 455 gigaton węgla, czyli ok. 1670 gigaton ekwiwalentu CO₂. Jedna gigatona to miliard ton.

Dla porównania Empire State Building w Nowym Jorku waży ok. 365 tys. ton. Oznacza to, że wyemitowany w tym czasie dwutlenek węgla ma wagę zbliżoną do 4,6 miliona budynków takich jak Empire State Building.

x 4,6 mln

Gdyby ustawić 4,6 mln kopii Empire State Building ściana w ścianę obok siebie, zajęłyby obszar 33,7 tys. km². To tylko o niecałe 2 tys. km² mniej niż powierzchnia woj. mazowieckiego.

stokrotnie zwiększyć produkcję z energii słonecznej, dziesięciokrotnie z wiatru, i sześciokrotnie z elektrowni atomowych. Przy tych obliczeniach to, że musiałyby jednocześnie podwoić produkcję z elektrowni wodnych, wydaje się już niewielkim problemem.

PROGNOZA EMISJI CO₂: JEST LEPIEJ, ALE NIE NAJLEPIEJ

Global Carbon Project co roku przygotowuje nowy budżet węglowy – opracowanie, w którym ogromny zespół naukowy wylicza, ile dwutlenku węgla wyemitowały poszczególne regiony świata, poszczególne sektory gospodarki, ile węgla trafia do atmosfery ze spalania którego z paliw kopalnych, ile węgla z atmosfery „wysysają” lasy, oceany i gleba. Pod najnowszą odsłoną raportu podpisało się 105 naukowców. Wielu pracuje w USA, ale wśród autorów znajdziemy też badaczy i badaczki z Irlandii, Japonii, Niemiec, Holandii, Australii czy Chin.

Ważną rolę w ocenie stanu klimatu odgrywają rozrzucone po świecie stacje, które mierzą zawartość dwutlenku w powietrzu. Do końca lat 70. do badania jego stężenia wykorzystywano głównie pomiary wykonywane na jednym z hawajskich wulkanów – Mauna Loa – i na stacji badawczej na biegunie południowym. Od tego czasu jednak stacji przybyło. Na samym Pacyfiku stacje pomiaru stężenia CO₂ znajdziemy m.in. na Samoa, wyspach Karmadec (administracyjnie część Nowej Zelandii, choć leży ok. 1000 km od jej wybrzeża), Kiribati czy na nowozelandzkim cyplu Baring Head.

Umieszczone na stacjach pomiarowych urządzenia podają stężenie CO₂ w atmosferze. Spływające z nich dane po odpowiednim skorygowaniu i połączeniu pozwalają ustalić, ile CO₂ znajduje się w atmosferze.

Analizy z najnowszego raportu GCP uzupełnione szacunkami wskazują, że w 2021 r. na każde milion cząsteczek powietrza przypadnie średnio 414,7 cząstek CO₂, czyli o połowę więcej (49 proc.) niż w epoce przedprzemysłowej.

Tegoroczne opracowanie GCP jest jeszcze w trakcie recenzji, co oznacza, że w tekście i danych mogą jeszcze zająć drobne zmiany.

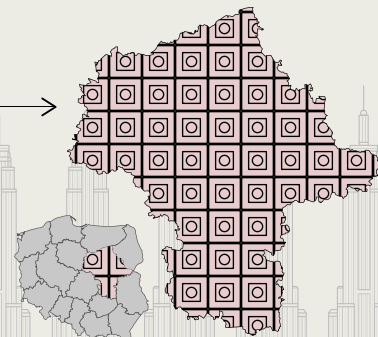
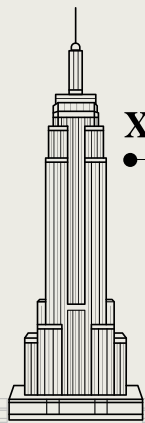
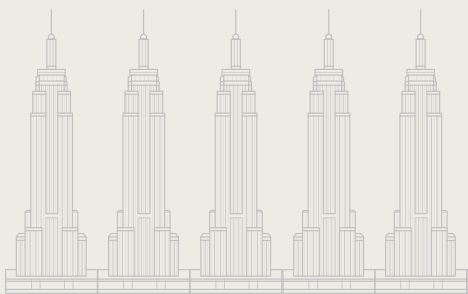
NIE ROŚNIE, ALE NIESTETY TEŻ NIE SPADA

Pozytywna wiadomość z nowego raportu GCP jest taka, że w latach 2011-19 globalne emisje CO₂ niemal nie rosły. Wcześniej sądzono, że przybywało 1,4 gigatonu CO₂ rocznie, te szacunki zostały pomniejszone do 0,1 gigatonu.

Ale wciąż nie spadają. A muszą, inaczej nie ma mowy o tym, byśmy zmieścili się nawet w najmniej ambitnym okienku wyrysowanym w porozumieniu paryskim.●

BIQDATA.PL

• Jak naukowcy liczą ilość CO₂ w atmosferze? Czytaj więcej na BIQdata.pl



W CZWARTEK 18 LISTOPADA W „WYBORCZEJ”

Wyjątkowy kalendarz przyrodniczy na rok 2022

ze zdjęciami
autorstwa
Adama Wajraka



Talibowie wciąż mają w Afg

Spór „emirat czy kalifat” to jedna z zasadniczych różnic między talibami a dżihadystami Państwa Islamskiego. Ci drudzy uważają talibów za „plugawych nacjonalistów”.

Jagoda Grondecka

KUNAR-NANGARHAR

Bar Kanday, miasteczko w prowincji Kunar, leży około 170 km na wschód od Kabulu. Te graniczące z Pakistanem tereny należą do najbardziej surowych w Afganistanie. Do wielu wiosek położonych na porośniętych sosnami wzgórzach nie da się dostać inaczej niż pieszo, na osiołku lub jedną ze starych terenówek z napędem na cztery koła, które zabierają często kilkunastu pasażerów naraz. Zwykły samochód nie da rady pokonać stromych, krętych, najeżonych kamieniami dróg.

Naimat siedzi pod ścianą, zwrócony w stronę mojego tłumacza, plecami do mnie. Przez ponad godzinę ani razu nie skieruje wzroku w moją stronę. Zapytany o to, a także o ogólne poglądy na temat kobiet, odpowiada krótko: mają zajmować się domem, a po śmierci należy je pochować.

Nie wyróżnia się wyglądem: podobnie jak wielu Afgańczyków nosi tradycyjny strój znany pod nazwą piran tunban, na który składają się luźne spodnie i długa tunika. Z narzucaną na wierzch kamizelką piran tunban stanowi najbardziej powszechne męskie odzienie w tej części kraju – podobnie zresztą jak i po drugiej stronie granicy, w Pakistanie, dokąd wielu mieszkańców Kunaru na różnych etapach życia uciekało przed toczącą się w ich ojczyźnie wojną.

Rodzina Naimata nie była wyjątkiem. By znaleźć schronienie przed krwawą wojną domową, wyjechała w latach 90. do Peszawaru – miasta położonego zaledwie godzinę jazdy od granicy, w którym przez lata schronienie znajdowały tysiące afgańskich uchodźców. Do Afganistanu wrócili w 2000 r., rok przed obaleniem reżimu talibów, gdy pojawiła się nadzieja, że okres rozlewu krwi i rządów twardej ręki dobiega końca. W rodzinnej prowincji wrócili do zajęcia, którym parali się wcześniej – uprawy niewielkiego kawałka ziemi.



• **Blokada dróg po ataku na szpital wojskowy w Kabulu. W zamachu zorganizowanym 2 listopada przez radykałów z ISK zginęło i zostało rannych wielu talibów**

FOT. AHMAD HALABISAZ / AP

W Afganistanie Naimat przez kilka lat uczęszczał do szkoły, ale kiedy miał ok. 15 lat – jak wspomina, było to w 7. klasie – starszy brat zaczął przekonywać go, że zamiast w „świeckiej” szkole powinien kontynuować naukę w medresie, szkole koranicznej. Uczony religijny mógłby przynieść rodzinie pieniądze i prestiż – może nawet Naimat zdobyłby tytuł mauławiego, znawcy islamu, który ukończył pełne studia w medresie.

– Brat mówił, że nie ma sensu uczyć się w szkole, że nic bym później nie zarobił na tym. Jakość szkolnictwa nie była dobra, a w medresie mogłem przynajmniej dowiedzieć się czegoś o religii – podsumowuje Naimat. Zgodnie z postanowieniem następny rok spędził, ucząc się na pamięć Koranu. By rozwijać potencjał, wrócił do Pakistanu, gdzie, jak tłumaczy, poziom kształcenia religijnego był wyższy. Kiedy miał 19 lat, wrócił do rodzinnego kraju, ale okazało się, że wbrew prognozom brata przed świeżo upieczonym absolwentem medresy nie otwierają się żadne perspektywy.

– Nigdzie w okolicy nie było pracy, nie znałem też nikogo, kto miałby znajomości, takty i mógł mi coś zaoferować – wspomina. – Nikt z rodziny nie pracował, uprawialiśmy trochę ziemi, ale ledwo dało się z tego żyć. Był 2015 r. Międzynarodowa koalicja zakończyła rok wcześniej operację „Enduring Freedom”. Misję ISAF zastąpiła nowa – „Resolute Support”, tym razem nie bojowa, ale doradczo-szkoleniowa. Sytuacja w kraju ponownie zaczęła się destabilizować. W Kunarze, podobnie jak wielu innych prowincjach, siły rządowe kontrolowały tylko miasta, góry należały do talibów.

Przemilczana śmierć mułły Omara

W pogrążającym się w chaosie kraju pojawiła się nowa siła, rzucając wyzwanie zarówno afgańskiej armii, jak i talibskim partyzantom. W Syrii i Iraku triumfy święciło Państwo Islamskie pod wodzą Abu Bakra al-Bagdadię. W trawiącym Afganistan chaosie grupa dostrzegła potencjał i wysłała swoich emisariuszy, by tam i w sąsiednim Pakistanie stworzyć swoistą franczyzę, znaną odtąd jako Państwo Islamskie Chorasanu (ISK) – odnosząc się do historycznej nazwy regionu, który obejmował swoim zasięgiem Afganistan. Pierwsi wysłannicy dżihadu pojawili się w Afganistanie pod koniec 2014 r. Początkowo

grupa grała głównie kartą religijną – w prowincjach, które stały się ich afgańskim matczynym, a więc Kunar i Nangarhar, istniała społeczność salaficka, uznająca wyższość tego radykalnego odłamu islamu nad szkołą hanaficką, do której należy większość talibów. Udało im się jednak umiejętnie zagospodarować pojawiające się rozłamy, korzystając z faktu, że w afgańskich wojnach zmiany stron przez walczących nigdy nie były osobnym zjawiskiem.

– Wcześniej byłem z talibami i naprawdę ich popierałem, ale zacząłem mieć wątpliwości, jak wielu z nas. Kiedy dowiedzieliśmy się, że mułła Omar [założyciel i pierwszy przywódca talibów] nie żyje, zastanawialiśmy się, dlaczego ukrywali to przed nami przez dwa lata? Jaki był tego wszystkiego cel? – relacjonuje mój rozmówca.

Naimat nie był w swoim niepokoju odosobniony. Choć mułła Omar zmarł w 2013 r. w niejasnych do dziś okolicznościach, jego śmierć pozostawała tajemnicą przez kolejne dwa lata. Gdy sekret wyszedł na jaw, w szeregach talibów pojawiły się pytania, a wraz z nimi – nieufność.

W tym samym czasie Naimat zaczął oglądać nagrania wideo z Syrii i Iraku, gdzie ka-

We Francji trwa proces stulecia

Sześć lat po zamachach terrorystycznych w Paryżu za udział w nich sądzonych jest 20 osób. Zeznało już 300 ofiar i były prezydent François Hollande.

W zamachach terrorystycznych 13 listopada 2015 r. zginęło 130 osób, a ponad 400 zostało rannych. Szósta rocznica tych wydarzeń upłynęła pod znakiem powściągliwości i ciszy. Żaden polityk nie wykorzystał tego dnia jako okazji do zabrania głosu.

Bez udziału prasy ani fotografów bliscy ofiar wraz z przedstawicielami rządu i władz Paryża złożyli hołd przed tablicami upamiętniającymi zabitych i rannych: przed salą koncertową Bataclan, do której podczas koncertu rockowego wtargnęło trzyosobowe terrorystyczne komando, i przed tarasami sześciu paryskich restauracji zaatakowanych przez dżihadystów.

Wiceprezydentka USA Kamala Harris złożyła kwiaty pod kawiarnią

Le Carillon, pod Bataclanem odczytano nazwiska wszystkich zamordowanych, a podczas meczu Francja – Kazachstan uczczono ofiary minutą ciszy.

Czy masakry można było uniknąć?

Akta liczące 542 tomy, w sumie milion stron dokumentacji, ponad 2 tys. osób z powództwa cywilnego, 300 adwokatów ofiar, specjalnie wybudowana 740-metrowa tymczasowa sala przesłuchań – największy proces karny w historii Francji, okrzyknięty „procesem stulecia”, rozpoczął się 8 września.

Proces 20 osób oskarżonych o udział w atakach (z czego sześciu sądzonych jest zaocznie) z okazji obchodów rocznicy tymczasowo zawieszono – tuż po przesłuchaniu jako świadka byłego prezydenta François Hollande’a. Wezwany do sądu przez stowarzyszenie ocalałych Life for Paris przez blisko cztery godziny wy-

jaśniał konteksty działań wojennych Francji na Bliskim Wschodzie, mówił o wydajności służb wywiadowczych, a także operacji policyjnych w noc wydarzeń. Z pytaniem w tle: czy masakry można było uniknąć?

„To wina waszego prezydenta. To on doprowadził do tej masakry. Zabijacie nas tam, my was – tu, a to dopiero początek. Głosowaliście na Hollande’a? Możecie mu podziękować”. Tak krzyczeli terroryści, strzelając z kalasznikowców do uczestników koncertu grupy Eagles of Death Metal w Bataclanie.

– Zagrożenie było stałe. Wiedzieliśmy, że szykują się zamachy. Że w Syrii szkoleni są terroryści, podrzynając gardła zakładnikom i więźniom, na dowód swojej determinacji. Ale nie wiedzieliśmy ani kiedy, ani gdzie, ani jak uderzą. Pomimo ostrzeżeń islamistów z sierpnia 2015 r. o ataku na salę koncertową w bliskiej przyszłości zapewnienie ochrony na czas nieokreślony wszystkim poten-

cjalnym miejscom kultury nie było możliwe – tłumaczył w sądzie Holande. – Uważam za słuszne zaangażowanie Francji w walkę z terroryzmem. Gdyby trzeba było, podjąłbym tę decyzję ponownie – oświadczył były prezydent, stwierdzając na koniec, że „demokracja jest silniejsza od barbarzyństwa”.

– Tylko 20 proc. mieszkańców Molenbeek wychodzi na ludzi. Ta dzielnica ściągnęła mnie w dół – przyznał 36-letni Mohamed Abrini sądzony za przywiezienie zamachowców z Brukseli do Paryża. – Nie urodziliśmy się z kalasznikowem w rękę – dodał

Kim są oskarżeni

Spśród oskarżonych jedenastu grozi dożywocie, a ośmiu postawiono zarzut spisku terrorystycznego z karą 20 lat pozbawienia wolności. Czterech z nich walczyło w Syrii w szeregach Państwa Islamskiego, trzech innych odpowiada z wolnej stopy.

Ich zaangażowanie w zamachy jest bardzo różne. Na przykład niekanonemu wcześniej dealerowi grozi kara sześciu lat więzienia za ukrywanie terrorysty. Ale w Paryżu są także sądownie wyroki wysocy rangą decydenci Państwa Islamskiego.

Przez cztery dni aresztowani w Paryżu opowiadali o swoim dzieciństwie, rodzinie, wykształceniu, doświadczeniu zawodowym i o ewentualnej kartotece karnej. Ale już nie o swoich związkach z religią, radykalizacją, podróżach do Egiptu, Turcji i Syrii czy o udziale w zamachach. To bowiem będzie obiektem rozprawy dopiero w styczniu. ●

Marta Kiełczewska-Konopka, Paryż

anistanie rywala

lifat Abu Bakra al-Bagdadiego święcił wówczas swoje triumfy. Wiedzę o Daesh (arabski akronim określający Państwo Islamskie) czerpał głównie z internetowych nagrań dokumentujących „wojny kalifatu”. Twierdzi, że nie widział w nich niczego brutalnego. Mulla, który był wówczas duchowym przewodnikiem Naimata, przekonywał ponadto, że emirat, jaki chcą zaprowadzić talibowie, z czasem i tak zamieni się w kalifat, który swoim zasięgiem obejmie cały świat.

– Mulla powiadał, że przed nastaniem kalifatu będą różne katastrofy, powódzie, susze, trzęsienia ziemi, uczulał nas na te znaki – opowiada Naimat. – No i ja to wszystko widziałem, uznałem więc, że to już czas. Ponadto jeden z hadisów mówi, że kalifat rozpocznie się od Iraku i Syrii, a tak właśnie było.

Emirat czy kalifat?

Spór „emirat czy kalifat” to jedna z zasadniczych różnic między talibami a dżihadystami Państwa Islamskiego. Ci drudzy uważają talibów, z ich ambicjami ograniczającymi się do władania Afganistanem, za „plugawych nacjonalistów”, i przekonują, że władza kalifa powinna obejmować swoim zasięgiem cały świat muzułmański, nie zaś ograniczać się do jednego państwa.

Naimat uwierzył, że kalifat oznacza sprawiedliwość i wolność dla każdego. – Tak, były plotki, że Daesh płaciło ludziom za przyłączenie się do nich, ale to tylko plotki, ja nic takiego nie widziałem – twierdzi. – Tu, w Kunarze, nie było wśród nas nikogo z zewnątrz, tylko osoby z tej samej prowincji. Często dołączali ci, którzy wcześniej byli z talibami. Ludzie po prostu chcieli sprawiedliwości.

Jakiej sprawiedliwości? – Rząd był skorpumpowany, nie robili niczego dla zwykłych ludzi. Daesh rozwiązywało nasze problemy. Żeby iść do sądu, trzeba było mieć pieniądze i znajomości, a bojownicy Daesh przychodzili i nie wypijali nawet twojej herbaty, tylko wysłuchiwali skarg, wydawali werdykt i od razu wymierzali karę. Cały proces był o wiele krótszy.

Sprawiedliwość była zaprowadzana w oparciu o szariat, a konsekwencje nieprzestrzegania zasad – surowe. – Za kradzież ucinano rękę – wspomina Naimat. – Ale nie dręczyli zwykłych ludzi. Trzeba było tylko chodzić do meczetu pięć razy dziennie i się modlić. Jeśli się tego nie robiło, było się karanym.

Realia życia pod władzą Daeshu inaczej wspominają mieszkańcy opianowanych przez nich wsi i miasteczek. Po oficjalnym proklamowaniu Państwa Islamskiego Chorasanu w styczniu 2015 roku grupa dokonała dynamicznej ekspansji. Różne szacunki mówią, że w czasie swojej świetności Państwo Islamskie Chorasanu liczyło między 4 a 6 tys. bojowników kontrolujących duże części prowincji Kunar i Nangarhar.

Położony w Nangarhar dystrykt Achin uchodził za twierdzę ugrupowania. To tam Amerykanie zrzucili „matkę wszystkich bomb”, by pozbyć się systemu podziemnych tuneli wykorzystywanych przez dżihadystów. W tamtym nalocie według oficjalnych raportów miało ich zginąć około 90. Achin pozostawało jednak pod ostrzałem przez lata. Naloty dronów, nierzadko przynoszące ofiary wśród ludności cywilnej, niszczyły domy, sklepy, szkoły, zabijając i okaleczając mieszkańców, którzy żyli między młotem międzynarodowej koalicji a kowadłem terrorystów.

Pierwsi wysłannicy dżihadu pojawili się w Afganistanie pod koniec 2014 roku. Ich afgańskim matecznikiem stały się prowincje Kunar i Nangarhar

Zahirullah, rolnik ze wsi Shadel w sercu Achin, wspomina czas władzy dżihadystów jako piekło na ziemi. W przeciwieństwie do Naimata twierdzi, że w ich szeregach było wielu obcokrajowców, nieznanymi wcześniej mieszkańcom. – Byli tu Pakistańczycy, Rosjanie, Czeczeni – wymienia. – Nie rozmawiali z nami, tylko wydawali rozkazy. Wyganiałi ludzi z domów i zamieniali je na kwatery dla swoich bojowników. Naszą wiejską szkołę zamieniono w sąd. Nie mogliśmy spokojnie pójść uprawiać pola ani wyjechać ze wsi, bo to kończyło się podejrzeniami o współpracę z rządem czy Amerykanami. Sam kiedyś siedziałem w domu i recytowałem święty Koran,

kiedy wpadła do niego grupa bojowników. Przez miesiąc przetrzymywali mnie w areszcie, twierdząc, że wyjechałem do Dżalalabadu, by widzieć się z gubernatorem.

„Walczyliśmy non stop przez pół roku”

Naimat przyznaje, że grupa była bardzo wychulona w kwestii kontaktów lokalnej społeczności ze światem i możliwości zdradzenia pozycji ich bojowników. Kiedy sam wstąpił do Daeshu w 2017 roku, składając przysięgę wierności kalifatowi, do jego obowiązków należało zapobieganie takiemu ryzyku. – Czasami kazali nam zabrać ludziom telefony, żeby rząd czy Amerykanie nie mogli nas namierzyć – opowiada. – Ale nie mieliśmy dokładnie wyznaczonych zadań; robiliśmy raz jedno, raz drugie, wszystko, co przyszło od naszych dowódców. Mieliśmy też dyżury przed meczetami, żeby kontrolować, czy ludzie przychodzą na modlitwę.

Naimat twierdzi, że jego rodzina początkowo cieszyła się, że przyłączył się do ugrupowania. Był to jednak okres wzmożonej mobilizacji przeciwko Daesh – siły USA, afgańskiego rządu i talibów niemalże ramię w ramię walczyły ze wspólnym wrogiem. Nową normalnością w takich prowincjach jak Kunar czy Nangarhar stały się ataki z powietrza. – Wtedy zaczęli się bać, że rakietą uderzy w nasz dom. Prawie w nim nie nocowałem, razem z innymi chłopakami spaliliśmy w różnych miejscach, w dziurach wykopanych w ziemi.

– Kiedy przyłączyło się do nas odpowiednio wiele osób, zaczęliśmy wojnę – wspomina Naimat. – Walczyliśmy przeciwko talibom i rządowi w dolinie Korengal, non stop przez pół roku, wszystkim, co wpadło nam w ręce. Zbieraliśmy zepsutą czy porzuconą broń, dostawaliśmy też pieniądze od popierających nas Afgańczyków.

Mieszkańcy Korengalu obecność Daeshu w swojej dolinie wspominają ze zgrozą. Azgarszach, jeden z członków miejscowej starszyny, twierdzi, że „byli gorsi niż Amerykanie, choć ci drudzy też zabijali cywili”. W ich opowieściach pojawia się to samo, co we wspomnieniach mieszkańców Achin – brutalność, z jaką nie spotkali się wcześniej ani ze strony talibów, ani sił afgańskiego rządu, zamykanie ludzi w aresztach, odcinanie od świata.

Talibowie? „Kontrolowani przez Pakistan”

Walki w Korengalu zakończyły się rozgromieniem Daeshu, a bojownicy masowo się poddawali. Ówczesny prezydent, Aszraf Ghani, ogłosił amnestię dla tych członków Państwa Islamskiego, którzy sami oddadzą się w ręce rządu. Tak zrobiło wówczas ok. 1400 bojowników i ich rodziny, a afgański rząd zaczął propagować narrację o całkowitym pokonaniu i wykorzenieniu organizacji w ich kraju.

Naimat i wielu jego kolegów należeli do tych, którzy zdecydowali się złożyć broń. Zostali spisani i wypuszczeni na wolność, lecz twierdzi, że w następnych tygodniach i miesiącach siły rządowe zaczęły ich szukać. – Wielu moich kolegów trafiło wtedy do więzienia Bagram czy w inne miejsca – opowiada. – Wyszli z nich po tym, jak talibowie przejęli władzę i zaczęli otwierać areszty.

Mimo to Naimat nie cieszy się ze zmiany władzy w kraju. – To nie jest dobry rząd – mówi o talibach. – Są kontrolowani przez Pakistan. A wszystkie te wojny, które mają miejsce w Afganistanie, są prowadzone przez Pakistan, więc jestem przeciwko nim. Zniszczyli mnóstwo infrastruktury, która była zbudowana przez te wszystkie lata, zniszczyli inwestycje, palili nawet sklepy. Ludzie są przez nich biedni.

Za służbę w szeregach Daeshu bojownicy nie otrzymywali stałego wynagrodzenia. – Pewnego miesiąca, jednego z tych szczęściu, kiedy walczyliśmy w Korengalu, dostałem 1500 afgani [niecałe 20 dol.] – mówi Naimat. To było wszystko, co zarobiłem podczas tamtej wojny.

Teraz ponownie żyje jako cywil. Z nowo poślubioną żoną i dwójką dzieci mieszka w jego rodzinnym domu w Bar Kanday. Mówi, że jeśli pojawi się okazja, powróci do bycia bojownikiem kalifatu. Nie wie, ilu spośród dawnych towarzyszy broni pozostało na polu bitwy, ale słyszał o atakach, które przeprowadza ISK. Nie wiedział jeszcze, że grupie uda się przeprowadzić zamach na szpital wojskowy w Kabulu, raniąc i zabijając wielu talibów, w tym wysokiego rangą urzędnika Emiratu – miał on miejsce dzień po naszej rozmowie.

– Wszyscy, którzy dziś są rozproszeni, powinni się zjednoczyć. Jeśli Daesh będzie rosnąć w siłę, przyłączę się do nich – deklaruje. – Na razie nie wiem, jakie będzie moje przeznaczenie. ●

SUBSCRIPTION DAY

wyborcza.pl

KONFERENCJA ON-LINE
18 LISTOPADA 2021
ERA SUBSKRYPCJI

WWW.SUBSCRIPTIONDAY.PL

Propaganda i etyka

Rakowski i Kielbasiński, czyli moralne dylematy redaktorów

Czytając w „Dzienniku Bałtyckim” paszkwil na dyrektora Europejskiego Centrum Solidarności Basila Kerskiego, wspominam z sentymentem wielobarwną propagandę PZPR.

Gadomski



Michał Przeperski w książce poświęconej Mieczysławowi F. Rakowskiemu opisuje dramatyczną sytuację, do której doszło w tygodniku „Polityka” 11 marca 1968 roku. W Biurze Prasowym KC PZPR, które kontrolowało wszystkie gazety w PRL, jakiś „geniusz” wymyślił, by kierowany przez Rakowskiego tygodnik wydrukował esej Antoniego Słonimskiego „O drażliwości Żydów”. Pochodzący z bardzo zasymilowanej rodziny żydowskiej Słonimski esej, a właściwie paszkwil na ortodoksyjnych Żydów, napisał w 1924 roku. Wydrukowany po czterdziestu paru latach w atmosferze „antysyjonistycznej” (tak naprawdę antyżydowskiej) kampanii miałby zupełnie inny wydźwięk. Wiedzieli o tym towarzysze z KC, wiedział Rakowski i zespół „Polityki”, który pod nieobecność naczelnego sprzeciwił się drukowi. Następnego dnia Rakowski do Warszawy wrócił, a dowiedziawszy się o naciskach z Komitetu Centralnego, poparł stanowisko redakcji i zaczął wydzwaniać do partyjnych aparatczyków – Stefana Olszowskiego i Zenona Kliszki.

Rakowski był dziennikarzem, a jednocześnie funkcjonariuszem PZPR. Wierzył, że rządząca partia postępuje słusznie i podporządkowywał się prawie zawsze jej decyzjom. W rozmowie z Kliszką – wówczas człowiekiem nr 2 w PZPR – przypominał swoje zasługi dla partii i podkreślał, że zgadzał się z linią partyjną. Tym razem nie mógł z kilku powodów. Powodem najprostszym było to, że druk starego tekstu Słonimskiego byłby podłością zarówno w stosunku do sędziwego poety, jak i całego środowiska polskich intelektualistów, którego Słonimski był jednym z liderów.

Powód drugi, równie ważny – duża część dziennikarzy „Polityki” zagroziła odejściem w przypadku druku eseju. To nie byli dysydenci, większość z nich uważała PRL, podporządkowaną ZSRR i rządzoną przez PZPR, za jedyną możliwą formę quasi-polskiego państwa w warunkach zimnej wojny. Czuli się dziennikarską elitą i czerpali z pracy w „Polityce” profity materialne i towarzyskie. Rezygnacja, nawet jeśli udałoby się znaleźć pracę w zawodzie, byłaby bolesna. Przywykli do autocenzury, przymykali oko na wiele podlutkich tekstów, które ukazywały się w „Polityce”. Ale tym razem uznali, że pewnej granicy przekroczyć nie mogą.

Trzecim powodem, dla którego Rakowski sprzeciwił się drukowi tekstu, była jego troska o wiarygodność. Kierowana przez niego „Polityka” była w latach 60. i 70. XX wieku pismem kształtującym postawy polskiej inteligencji, ich estetyczną wrażliwość i myślenie o gospodarce i polityce. Rakowski miał licznych znajomych, a nawet przyjaciół wśród intelektualistów, których wielu miało sceptyczny stosunek do PZPR. Niektórzy byli dawnymi członkami partii, rzucili legitymacje na kolejnym zakręcie historii. Dla Rakowskiego, ale także dla władz PZPR to było środowisko ważne, choć nieliczne. Naczelnym „Polityki” wiedział, że jeżeli postąpi w sposób haniebny (a cały czas balansował na linie), przestanie się liczyć dla miękkiej intelektualnej opozycji, a tym samym utraci ważny atut w grze z towarzyszami z KC.

Towarzysze z KC też o tym wiedzieli. Rakowski ich denerwował, ale też im imponował, a przede wszystkim był potrzebny jako łącznik między władzą a inteligencją. Kierownicy frontu propagandowego KC PZPR potrzebowali siepaczy takich jak Maria Osiadacz, Ryszard Gontarz czy Tadeusz Kur. Wiedzieli, że wykonają oni każde zadanie, przekroczą każdą granicę, wylewając kubły pomyj na wroga wskazanego przez partię, i nie zawahają się przed żadną podłością. Takich siepaczy mogli mieć na pęczki, ale potrzebowali kogoś subtelniejszego, takiego jak Rakowski, i gotowi byli zaakceptować to, że nie zawsze jest sterowalny.

Wielobarwną propagandę PZPR wspominam dziś z sentymentem, gdy PiS prezentuje wyłącznie propagandę siepaczy. 4 listopada w „Dzienniku Bałtyckim”, należącym do medialnego imperium Obajtka, ukazał się tekst „Niemiec, ale nasz? Rzecz o Basilu Kerskim, dyrektorz Europejskiego Centrum Solidarności”. Tekst jest pełen prymitywnych, podłych oskarżeń, które nie są poparte cieniem dowodu w stosunku do środowiska gdańskiej Platformy Obywatelskiej. Autorem jest Krzysztof Maria Żaluski, były dyrektor biura prasowego spółki skarbu państwa Energa i niedoszły polityk ugrupowania Kukiz '15. Pisany w stylu, którego nie powstydziliby się najbardziej gorliwi siepacze marcowi – pełen insynuacji i pomówień. Oto mała próbka:

„W Niemczech na dźwięk nazwiska redaktora »Dialogu« wielu Polonusów jeszcze dziś dostaje gęsiej skórki. Niektórzy twierdzą nawet, że stanowisko szefa Europejskiego Centrum Solidarności, które Kerski otrzymał w marcu 2011 r., mogło być nagrodą za jego antypolonijną działalność. Ich zdaniem Kerski przez lata promował bowiem wartości szkodzące Polonii i Polsce”.

Mamy tu typowe dla prymitywnej propagandy powoływanie się na bliżej nieokreślone osoby, które rzekomo mają bardzo złe mniemanie o bohaterze reportażu. Jednak jeszcze gorzej jest, gdy Krzysztof Maria Żaluski powołuje się na konkretne osoby. „Los uśmiechnął się do niego jedynie dzięki znajomości z Donaldem Tuskiem, którego historię »antykomunistycznej« działalności i powiazań ze wschodnioniemiecką STASI, na podstawie wspomnień m.in. Krzysztofa Wyszkowskiego, opisał przytoczony we wstępie Wojciech Sumliński”.

Wyszkowski, dawny działacz opozycyjny, kiedyś związany z Kongresem Liberalno-Demokratycznym Donalda Tuska, a później ze spółkami Jarosława Kaczyńskiego, w ostatnich latach opisuje się coraz bardziej chamskimi wypowiedziami. „Ci powstańcy stają po stronie Dirlevan-gera” – skomentował na Twitterze wpis zawierający zdjęcie uczestniczek powstania warszawskiego Wandy Traczyk-Stawskiej i Anny Przedpelskiej-Trzeciakowskiej, które przemawiały na manifestacji „Zostajemy w Unii” na placu Zamkowym w Warszawie. O napięciach na granicy polsko-białoruskiej pisał zaś: „Możliwe, że plan tusko-niemiecko-ruski polega na ściągnięciu policji na granicę, żeby 11 listopada dokonać w kilku miastach do walk i ataku na siedziby władz” (składnia oryginalna).

Udający dziennikarza śledczego Sumliński to autor kilku skandalizujących książek, między innymi „Niebezpieczne związki Bronisława Komorowskiego”. Dziennikarze odkryli, że całe fragmenty tego dzieła zostały zerżnięte z książek autorów znac-

nie bardziej znanych niż Sumliński, a mianowicie z powieści Alistaira MacLeana, Raymonda Chandlera, Johna Steinbecka. Ewa Winnicka z tygodnika „Polityka” zarzuciła również Sumlińskiemu, że splagia-tował w „Słowie Podlasia” fragment jej reportażu.

Na takie autorytety powołuje się Krzysztof Maria Żaluski.

Za ukazanie się tekstu odpowiada redaktor naczelny „Dziennika Bałtyckiego” Artur Kielbasiński, były dziennikarz. Pracował kiedyś w Radiu Gdańsk, a wcześniej „Gazecie Wyborczej”. Obecnie jest funkcjonariuszem frontu propagandy.

Nie ma sensu porównywać Kielbasińskiego z Rakowskim, a „Dziennika Bałtyckiego” z dawną „Polityką”. Nie ten rozmiar kapelusza, nie ten nakład. „Polityka” w najlepszych latach sprzedawała pół miliona egzemplarzy i trzeba było na nią polewać w kioskach, „Dziennik Bałtycki” jest gazetą, powiedzmy delikatnie, „niszową”.

Ale sytuacja, w jakiej znalazł się Kielbasiński, była podobna do tej (choć nie identyczna), z którą mierzył się w marcu 1968 roku Rakowski. Dostał na biurko wyjątkowo wredny tekst i mógł podejrzewać (a może nawet miał pewność), że jego druk życia sobie funkcjonariusze rządzącej partii. Ma wystarcząjące kompetencje, by rozumieć, że szereg oskarżeń zawartych w tekście w stosunku do osób publicznych nie ma najmniejszego uzasadnienia i opiera się wyłącznie na konfabulacji autora, anonimowych osób lub ludzi niewiarygodnych. Zdawał sobie sprawę z obrzydliwości zarzutów.

Ale pozycja Kielbasińskiego w machinie propagandowej jest niska. Nie może, jak Rakowski, zadzwonić do Komitetu Centralnego, z pominięciem niższej rangi aparatczyków, nie może błagać wysokiej rangi decydentów, by pozwolił tekstowi nie wydrukować i nie może ich szachować możliwością zrezygnowania z pracy części zespołu. Taką groźba byłaby humorystyczna, bo zespół „Dziennika Bałtyckiego”, inaczej niż „Polityki”, można wymienić w ciągu jednego dnia.

Kielbasiński nie może też przekonywać, że w interesie rządzącej partii jest utrzymanie pewnej wiarygodności pracowników mediów. Bo PiS nie potrzebuje wiarygodnych dziennikarzy, a jedynie siepaczy. Im bardziej prymitywni, im mocniej przywołują „wrogów” wskazanemu przez partię, tym lepiej.

Jedyne, co Kielbasiński może, to samemu podać się do dymisji lub zachować się podle. Nie wiemy, jak długo zastanawiał się nad wyborem, czy negocjował poszczególne zdania, prosząc o wykreślenie tych najpodlejszych. Wiemy tylko, co wybrał. ●

Witold Gadomski

PREZYDENT MIASTA LEGNICY

Ogłasza przetarg ustny nieograniczony dotyczący sprzedaży nieruchomości zabudowanej położonej w Legnicy przy ul. Krzywej.

Przedmiotem oferty przetargowej jest n.w. nieruchomość położona w Legnicy przy ul. Krzywa, działka nr 230/2 o powierzchni 0,3126 ha, Obręb Wrocławskie Przedmieście, KW LE1L/00056766/0.

Cena wywoławcza 499.000,00 zł + (w tym wartość budynku magazynowego 60.900,00 zł), Wadium 99.000,00 zł.

Przetarg odbędzie się 21.01.2022 r. o godz.13.00 ul. Chojnowska 2. LCK Legnica

Szczegółowych informacji na temat ww. nieruchomości udziela Wydział Gospodarki Nieruchomościami – Ewa Zajac, tel. 767212-300 oraz organizacji przetargu - Wioletta Mazur, tel.767212-301. Pełne ogłoszenie zamieszczono na www.legnica.eu, w Biuletynie Informacji Publicznej oraz wywieszono na tablicy ogłoszeń Urzędu Miasta Legnica, Pl. Słowiański 8.

OGŁOSZENIE 34137998

FAKTY RMF FM

NAJBARDZIEJ WIARYGODNE ŹRÓDŁO INFORMACJI



radio nr 1 w Polsce

RMF
FM

PREZYDENT MIASTA LEGNICY

Ogłasza przetarg ustny nieograniczony dotyczący sprzedaży nieruchomości położonej w Legnicy przy ul. Krzywej.

Przedmiotem oferty przetargowej jest n.w. nieruchomość położona w Legnicy przy ul. Krzywa, działka nr 231/8 o powierzchni 0,7343 ha, Obręb Wrocławskie Przedmieście, KW LE1L/00056766/0.

Cena wywoławcza 1.350.000,00 zł + (wraz z infrastrukturą techniczną + pod VAT’). Wadium 270.000,00 zł.

Przetarg odbędzie się 21.01.2022 r. o godz. 12.30 w LCK, ul. Chojnowska 2.

Szczegółowych informacji na temat ww. nieruchomości udziela Wydział Gospodarki Nieruchomościami – Ewa Zając, tel. 767212-300 oraz organizacji przetargu - Wioletta Mazur, tel.767212-301. Pełne ogłoszenie zamieszczono na www.legnica.eu, w Biuletynie Informacji Publicznej oraz wywieszono na tablicy ogłoszeń Urzędu Miasta Legnica, Pl. Słowiański 8.

34138000.n

PREZYDENT MIASTA LEGNICY

Ogłasza przetarg ustny nieograniczony dotyczący sprzedaży nieruchomości zabudowanej położonej w Legnicy przy ul. Wrocławskiej 211

Przedmiotem oferty przetargowej jest n.w. nieruchomość położona w Legnicy przy ul. Wrocławskiej 211, działka nr 231/6 o powierzchni 0,6140 ha, Obręb Wrocławskie Przedmieście, KW LE1L/00056766/0.

Cena wywoławcza 2.980.000,00 zł (w tym wartość budynków 1.493.000,00 zł).

Wadium 596.000,00 zł.

Przetarg odbędzie się 21.01.2022 r. o godz. 12.00 w LCK, ul. Chojnowska 2.

Szczegółowych informacji na temat ww. nieruchomości udziela Wydział Gospodarki Nieruchomościami – Ewa Zając, tel. 767212-300 oraz organizacji przetargu - Wioletta Mazur, tel.767212-301. Pełne ogłoszenie zamieszczono na www.legnica.eu, w Biuletynie Informacji Publicznej oraz wywieszono na tablicy ogłoszeń Urzędu Miasta Legnica, Pl. Słowiański 8.

34138004.n

Na mocy zarządzenia z dnia 19 czerwca 2020 r. Sąd Rejonowy Poznań – Stare Miasto w Poznaniu w sprawie I C 1912/19 z powództwa Banku Polska Kasa Opieki SA z siedzibą w Warszawie przeciwko Aleksandrze Sikorze i Markowi Sikorze o zapłatę ustanowił dla ww. pozwanych jako nieznanych z miejsca pobytu kuratora w osobie r.pr. Macieja Rozmarynowskiego, uzależniając skuteczność doręczenia kuratorowi odpisu pozwu od upływu miesięcznego terminu od wywieszenia zarządzenia w budynku sądu. Do czasu zgłoszenia się pozwanych do niniejszego postępowania doręczenia będą dokonywane ww. kuratorowi.

34137705.n

WYCIĄG Z OGŁOSZENIA

O PIERWSZYM PRZETARGU USTNYM NIEOGRANICZONYM NA SPRZEDAŻ NIERUCHOMOŚCI

L.p	Opis nieruchomości	Przeznaczenie nieruchomości zgodnie z miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego (MPZP)	Macierzysta księga wieczysta	Cena wywoławcza brutto	Wadium	Termin przetargu
1.	Podbrzezie Dolne, obręb 0011 - nieruchomość niezabudowana nr 1293 o pow. 9.5152 ha - Opis użytku: nieużytki - symbol klasoużytku N - 0.2091 ha, tereny różne - symbol klasoużytku Tr – 9.3061 ha. Działka włączona do Kostrzynsko-Słubickiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej Podstrefy Kozuchów. W stosunku do działki Gmina Kozuchów nie podjęła uchwały, o której mowa w art. 8 ustawy z dnia 09 października 2015 r. o rewitalizacji (t.j Dz.U. z 2021 r. poz. 485), działka nie leży na obszarze Specjalnej Strefy Rewitalizacji, o której mowa w rozdziale 5 ustawy o rewitalizacji.	Teren o funkcji produkcyjno–technicznej z przeznaczeniem pod zakłady przemysłowe, składy, bazy.	KW Nr ZG1N/00051492/2 Nieruchomość jest wolna od wpisów jakichkolwiek ciężarów, ograniczeń i hipotek	3.610.050,00 zł	361.005,00 zł	28 STYCZNIA 2022 r. godz. 8.00

Termin i miejsce przetargu: 28 STYCZEŃ 2022 r. godz. 8.00, siedziba Urzędu Miejskiego w Kozuchowie ul. Rynek 1A, sala nr 12, I piętro. Wadium na w/w nieruchomości należy wpłacić w terminie do dnia 21 STYCZNIA 2022 r. z zaznaczeniem na jaki cel na konto Gminy Kozuchów Bank Spółdzielczy w Kozuchowie Nr 4996730007 0000 0000 10070006. Za datę wpłacenia wadium uważa się wpływ wymaganej kwoty na rachunek Gminy Kozuchów. Pełny tekst ogłoszenia o przetargu podaje się do publicznej wiadomości poprzez wywieszenie na tablicy ogłoszeń w Urzędzie Miejskim w Kozuchowie, opublikowanie w Biuletynie Informacji Publicznej i na stronie internetowej Urzędu. Wyciąg z ogłoszenia o przetargu zamieszczony zostanie w prasie o zasięgu ogólnokrajowym i obejmującym powiat. Dodatkowe informacje o nieruchomości można uzyskać w Wydziale Gospodarki Komunalnej Urzędu Miejskiego w Kozuchowie, ul. Rynek 1 A, I piętro pokój nr 5, tel. 68 355 59 45.

34137616.n

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Starachowicach, I Wydziałem Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 430/21 z wniosku Stanisława Dyoniziak toczy się postępowanie o stwierdzenie, że z mocy prawa przez uwłaszczenie, małżonkowie Zdzisław Dyoniziak i Stanisława Dyoniziak nabyli do małżeńskiej ustawowej wspólności majątkowej własność nieruchomości rolnej, zabudowanej budynkiem mieszkalnym, położonej w miejscowości Lubienia przy ulicy Wschodniej 7, gmina Brody, powiat starachowicki, województwo świętokrzyskie w obrębie 0010 Lubienia o łącznej powierzchni 1,8481 ha, składającej się z działek oznaczonych numerami ewidencyjnymi 201/1 o powierzchni 1,6281 ha i 487 o powierzchni 0,2200 ha, dla której to nieruchomości nie stwierdzono, by była prowadzona księga wieczysta lub zbiór dokumentów. W ewidencji gruntów, jako posiadaczka samoistna nieruchomości wpisana jest Stanisława Dyoniziak.
Sąd wzywa właścicieli tej nieruchomości i innych zainteresowanych w sprawie, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Starachowicach i udowodnili swoje prawo własności do wyżej wskazanej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie sąd stwierdzi nabycie własności zgodnie z wnioskiem, jeżeli zostanie ono udowodnione.

34137501.n

W Sądzie Rejonowym w Elblągu, IX Wydział Cywilny toczy się postępowanie w sprawie o sygn. IX Ns 260/21 z wniosku Heleny Romell zamieszkłej w San Diego - Stany Zjednoczone Ameryki Północnej o uznanie za zmarłego Witolda Skrebutana, syna Bolesława i Salomei, urodzonego w dniu 25 maja 1951 r. w miejscowości Piwory (ZSRR) ostatnio zamieszkałego wraz z rodziną w miejscowości Borzynowo 35 gmina Pasłęk. Ostatni raz Witold Skrebutan widziany był na początku lat 90. XX wieku, kiedy to miał udać się w podróż promem do Szwecji. Wzywa się zaginionego Witolda Skrebutana, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosił się do Sądu Rejonowego w Elblągu, w którym toczy się postępowanie, gdyż w przeciwnym razie może być uznany za zmarłego. Wzywa się również wszystkie osoby, które mogą udzielić wiadomości o zaginionym, aby w powyższym terminie przekazały je Sądowi.

34137449.n

W Sądzie Rejonowym w Gdyni

- VII Wydziale Cywilnym toczy się pod sygnaturą VII Ns 260/21 postępowanie z wniosku Andrzeja Morawskiego o

STWIERDZENIE NABYCIA SPADKU

po Januszu Michale Kawczyńskim s. Waclawa i Eugenii, zmarłym 07.12.2020 r. w Gdyni, ostatnio stale zamieszkałym w Gdyni. W skład spadku wchodzi lokal mieszkalny położony w Gdyni przy ul. Korczaka 5A/24 oraz samochód Ford Escort. Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

34137321.n

Przed Sądem Rejonowym w Kozienicach pod sygn. akt I Ns 520/20 toczy się postępowanie wszczęte na wniosek Gabrieli Nikorzewskiej m.in. o stwierdzenie nabycia spadku po Pawle Stanisławie Nikorzewskim, synu Mirosława i Małgorzaty, zmarłym w dniu 5 listopada 2020 roku, ostatnio stale zamieszkałym w Leżenicach, gminie Głowaczów.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili się i udowodnili na rozprawie nabycie spadku, w przeciwnym razie sąd wyda postanowienie stwierdzające nabycie spadku przez spadkobierców, których prawa zostały ustalone.

34137597.n

Wyciąg z ogłoszenia

o pierwszym przetargu ustnym nieograniczonym

na sprzedaż działek niezabudowanych położonych w Starogardzie Gdańskim, KW GD1A/00018053/2, obr. 30, według wykazu w tabelce:

Lp.	Nr działki	Pow. W m²	Położenie	Przeznaczenie w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego	Cena wywoławcza w zł (zawiera 23%VAT)	Wadium w zł
1.	224/1	1.827	ul. Żołnierski Wykłętych	31.MN/U - teren zabudowy mieszkaniowo-usługowej, dopuszczalne funkcje mieszkaniowe jednorodzinne i usługowe	323 200,00	32 320,00
2.	224/2	1.782	ul. Alojzego Gusowskiego	31.MN/U - teren zabudowy mieszkaniowo-usługowej, dopuszczalne funkcje mieszkaniowe jednorodzinne i usługowe	315 200,00	31 520,00
3.	224/3	3.664	ul. Alojzego Gusowskiego	31.MN/U - teren zabudowy mieszkaniowo-usługowej, dopuszczalne funkcje mieszkaniowe jednorodzinne i usługowe	635 000,00	63 500,00

Nieruchomości wymienione w poz. 1-3 przeznaczono do zbycia Zarządzeniem nr 294/09/2021 Prezydenta Miasta Starogard Gdański z dnia 7 września 2021 r.

Przetarg ustny nieograniczony odbędzie się dnia 19 stycznia 2022 r. (środa) o godz. 9.00 w sali 101 Urzędu Miasta Starogard Gdański, ul. Gdańska 6. Wadium w pieniądzu należy wnieść najpóźniej do dnia 13 stycznia 2022 r. (czwartek) na konto Urzędu Miasta Starogard Gdański nr 83 8340 0001 0001 1400 2000 0005 Bank Spółdzielczy w Starogardzie Gdańskim. Wadium zostanie zaliczone na poczet ceny nabycia lub ulega przepadkowi w razie uchylenia się uczestnika, który wygrał przetarg, od zawarcia umowy.

Ogłoszenie o przetargu wywieszono na tablicy ogłoszeń Urzędu Miasta Starogard Gdański, ul. Gdańska 6 (obok p. 204) i TBS Ziemi Kociewskiej sp. z o.o. w Starogardzie Gdańskim, ul. Traugutta 56 oraz zamieszczono na stronach internetowych www.bip.starogard.pl i www.starogard.pl

Blizszych informacji dotyczących nieruchomości objętych ogłoszeniem i regulaminu przetargu udziela Wydział Gospodarki Gruntami, Geodezji i Rolnictwa Urzędu Miasta Starogard Gdański, ul. Gdańska 6, pok. 204, II piętro, tel. 58 530 60 75. Informacji dotyczących warunków zabudowy i zagospodarowania w/w nieruchomości udziela Wydział Planowania i Urbanistyki, pok. 206, II piętro, tel. 58 530 60 82. mail: ewa.lewandowska@um.starogard.pl

34137403.n

PREZYDENT

MIASTA BYDGOSZCZY

WYCIĄG Z OGŁOSZENIA O PRZETARGU

Prezydent Miasta Bydgoszczy informuje o ogłoszeniu trzeciego przetargu ustnego nieograniczonego na sprzedaż nieruchomości niezabudowanej, stanowiącej własność Miasta Bydgoszczy położonej w Bydgoszczy przy ul. Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego:

1. Oznaczenie i przeznaczenie nieruchomości:

dz.nr 22/2, pow. 0,1782 ha, obr. 501 , KW nr BY1B/00066770/5 : teren parkingu o symbolu „63 KSP” m.p.z.p. osiedla „Tatrzańskie” w jednostce Fordon w Bydgoszczy

2. Cena wywoławcza : 663.000,- zł netto (do wylicytowanej ceny zostanie doliczony podatek VAT)

3. Termin i miejsce przetargu: 18 stycznia 2022 r., godz. 11⁰⁰ w Urzędzie Miasta Bydgoszczy przy ul. Jezuickiej 2 (sala Łochowskiego).

4. Wysokość wadium : 82.000,- zł (termin wpłaty: do **04 stycznia 2022 r.**):

5. Miejsce wywieszenia i publikacji ogłoszenia o przetargu:

- tablica ogłoszeń: Urząd Miasta Bydgoszczy -Wydział Mienia i Geodezji - przy ulicy Grudziądzkiej 9-15

- strony internetowe: <http://www.bydgoszcz.pl> (w zakładce Miejskie działki)

<http://bip.um.bydgoszcz.pl> (w zakładce Ogłoszenia o przetargach na zbycie nieruchomości)

6. Szczegółowe informacje o przetargu można uzyskać w Wydziale Mienia i Geodezji Urzędu Miasta Bydgoszczy przy ul. Grudziądzkiej 9-15, budynek A – II piętro, pokój 218, tel. (52) 58 58 233, w godzinach 8⁰⁰ - 16⁰⁰ (pon., śr., czw.); 8⁰⁰ – 18⁰⁰ (wt.); 8⁰⁰ – 14⁰⁰ (pt.)

34137119

Wyciąg z ogłoszenia drugiego przetargu ustnego ograniczonego ogłoszonego przez Burmistrza Miasta Augustowa

na sprzedaż niezabudowanej nieruchomości położonej w Augustowie, przy ul. Usługowej, obręb 1, oznaczonej Nr geodez. 717/9 o pow. 3,9551 ha, objętej księgą wieczystą Nr SU1A/00033000/6. Cena wywoławcza 1 629 000, 00 zł + 23% VAT. Wadium 320 000,00 zł.

Nieruchomość zgodnie z miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego przeznaczona jest pod tereny usług – obiekty handlowe o powierzchni sprzedażowej poniżej 2000 m². Na terenie działki przyjęto orientacyjnie lokalizację stacji transformatorowych. Docelowo lokalizacja i typ stacji wyniknie z potrzeb odbiorców.
Nieruchomość jest wolna od obciążeń i nie jest przedmiotem zobowiązań.

Przetarg ograniczony jest do podmiotów z sektora mikro, małych oraz średnich przedsiębiorstw.

Wyboru trybu przetargu ograniczonego dokonano zgodnie z wymogami wynikającymi z Umowy o dofinansowanie projektu pn. „Uzbrojenie terenów Strefy Aktywności Gospodarczej w Augustowie” nr projektu RPPD.01.04.01-20-0004/16 ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Podlaskiego na lata 2014-2020: Osi Priorytetowej I Wzmocnienie Potencjału i Konkurencyjności Gospodarki Regionu Działania 1.4 Promocja przedsiębiorczości oraz podniesienie atrakcyjności inwestycyjnej województwa Podziałania 1.4.1 Promocja przedsiębiorczości oraz podniesienie atrakcyjności inwestycyjnej województwa – Tereny inwestycyjne.

W razie wystąpienia w granicach nieruchomości sieci, które kolidować będą z inwestycją, nabywca dokona ich przełożenia na koszt własny, w porozumieniu z właścicielem sieci.
Uzyskanie warunków przyłączenia i przyłączenie nieruchomości do sieci elektroenergetycznej (w tym koszt przyłączenia) leży po stronie nabywcy.

Przetarg odbędzie się 27 stycznia 2022 r. o godz. 9.00 w siedzibie Urzędu Miejskiego w Augustowie przy ulicy Młyńskiej 35, w Sali Narad, pokój Nr 411, 3 piętro.

Wadium należy wnieść w pieniądzu w terminie do 19 stycznia 2022 r. na rachunek Urzędu Miejskiego w Augustowie Nr 87 1240 5211 1111 0000 4921 6440.

Za datę wniesienia wadium uważa się datę wpływu środków pieniężnych na wskazany wyżej rachunek.

Osoby zamierzające uczestniczyć w przetargu powinny złożyć do Urzędu Miejskiego w Augustowie (ul. Młyńska 35, pok. Nr 101 (Biuro Obsługi Klienta), w terminie do 20 stycznia 2022 r. do godz. 12:00 (liczy się data i godzina wpływu do tut Urzędu) następujące dokumenty:

- zgłoszenie uczestnictwa w przetargu (zał. nr 1 do przetargu),
- wypis z rejestru lub ewidencji działalności gospodarczej (w tym umowę spółki cywilnej) oraz właściwe pełnomocnictwa osób reprezentujących te podmioty o ile umocowanie nie wynika z właściwej ewidencji (np. KRS),
- oświadczenie kwalifikujące przedsiębiorcę do kategorii mikro, małych oraz średnich przedsiębiorstw. (zał. nr 2 do przetargu),

Niezłożenie ww. dokumentów w wyznaczonym terminie skutkować będzie brakiem zakwalifikowania do przetargu. Brak wpłaty wadium w wyznaczonym terminie skutkować będzie brakiem zakwalifikowania do przetargu.

Lista osób zakwalifikowanych do przetargu zostanie wywieszona na tablicy ogłoszeń Urzędu Miejskiego w Augustowie, ul. Młyńska 35 oraz opublikowane na stronie internetowej Urzędu: urząd.augustow.pl i w Biuletynie Informacji Publicznej: bip.um.augustow.pl najpóźniej na jeden dzień przed wyznaczonym terminem przetargu.

Uczestnicy przetargu zobowiązani są do okazania komisji przetargowej dowodu tożsamości. Pierwszy przetarg ustny ograniczony odbył się 30 września 2021 r.

W przypadku podjęcia przez Burmistrza Miasta Augustowa decyzji o przeprowadzeniu przetargu przy użyciu środków komunikacji elektronicznej, informacja o tym zostanie zamieszczona w Biuletynie Informacji Publicznej Urzędu Miejskiego w Augustowie na co najmniej 7 dni przed terminem przetargu, ze wskazaniem w jaki sposób uczestnik przetargu będzie mógł w nim uczestniczyć.
W związku z powyższym osoby, które mają zamiar wziąć udział w przetargu proszone są o śledzenie bieżących informacji na stronie Biuletynu Informacji Publicznej Urzędu Miejskiego w Augustowie.

Wadium zwraca się niezwłocznie po odwołaniu lub zamknięciu przetargu, jednak nie później, niż przed upływem 3 dni od dnia odwołania, zamknięcia, unieważnienia lub zakończenia przetargu wynikiem negatywnym. Wadium wniesione przez uczestnika przetargu, który przetarg wygrał, zalicza się na poczet ceny nabycia nieruchomości a w przypadku uchylenia się przez tę osobę od zawarcia umowy wadium przepada na rzecz sprzedającego.

Ogłoszenie o przetargu zostało wywieszone na tablicy ogłoszeń Urzędu Miejskiego w Augustowie ul. Młyńska 35 oraz opublikowane na stronie internetowej Urzędu: urząd.augustow.pl i w Biuletynie Informacji Publicznej: bip.um.augustow.pl

Burmistrz Miasta Augustowa może odwołać przetarg z ważnych powodów.

Szczegółowe informacje udzielane są w siedzibie Urzędu Miejskiego w Augustowie, ul. Młyńska 35, pokój Nr 304, tel. 87 643 42 23, 87 643 80 60, 532 401 967.

Burmistrz Miasta Augustowa

34137287.n

Justyna Kowalczyk-Tekieli



Tylko i aż ludzie

WTA Finals przypomina nam, jak specyficzny jest wysiłek sportowców na znacznej wysokości nad poziomem morza. Korty w Guadalajarze są położone prawie 1600 m n.p.m. Nie zastanawiałam się nad tym, jak od strony technicznej taka wysokość może wpłynąć na grę. Że piłki trzeba zmienić, bo standardowe przy rozrzedzonym powietrzu są tak szybkie, że gra jest bardzo utrudniona. Że to rozrzedzone powietrze faworyzuje pewne sposoby gry. Nie może też dziwić zmienna dyspozycja zawodniczek. Nie dość, że są po długim i trudnym sezonie, to na dodatek rzadko rozgrywają mecze w górach tzw. średnich. Świat sportu już od dawna mocno się głowi nad wpływem wysokości na organizmy sportowców. Bardzo intensywnie – od ponad pięćdziesięciu lat, od letnich igrzysk w Meksyku. W większości konkurencji areny sportowe usytuowane były na wysokości 2240 m n.p.m. Taka wysokość nawet dziś przestraszałaby większość olimpijczyków, a co dopiero w 1968 r., gdy wiedza o treningu w warunkach hipoksji dopiero raczkowała. W biegach narciarskich czy w biathlonie treningi w (nazwijmy to umownie) górach nie są niczym nowym. Często też startujemy w takich warunkach, a mimo to wielu zawodników nie radzi sobie dobrze z rozrzedzonym powietrzem. Mniej tlenu

Świat sportu już od dawna mocno się głowi nad wpływem wysokości na organizmy sportowców. Bardzo intensywnie – od ponad pięćdziesięciu lat, od letnich igrzysk w Meksyku

ciężenia na trasie. To była moja furtka. Ze względu na wzrost nigdy nie byłam specjalnie lekka, wychowałam się 500 metrów nad poziomem morza, parametry krwi miałam średnie, a jednak byłam specjalistką od rywalizacji w górach.

Dla większości zawodników perspektywa startu w górach średnich jest stresująca. Dlatego jeśli główny start sezonu jest w górach, to poprzedzają go wielomiesięczne specjalne przygotowania. Ci biegacze narciarscy i biathloniści, którym zależy na dobrym występie w Pekinie, spędzili od kwietnia wiele czasu, trenując w warunkach hipoksji. W Skandynawii i w Rosji odbyła dyskusja o nadmiernym odchudzaniu wśród zawodniczek obu dyscyplin. Dziewczęta odchudzają się w roku olimpijskim na potęgę. Sama tak robiłam. W dążeniu do perfekcji łatwo przekroczyć granice tego, co zdrowe. Czasem przekracza się je świadomie, to pewna forma poświęcenia dla medali. A czasem ciężko po osiągnięciu celu opanować organizm i z konsekwencjami można się borykać latami. Nie dziwię się tenisistkom, że specjalnego przygotowania do finału nie zrobiły. Bo gdyby go zrobiły, to pewnie zabrakłoby im czasu na granie w turniejach i by się do najlepszej ósemki sezonu nie zakwalifikowały. Nie dziwię się ich łzom i zmęczeniu. Po tak trudnym i dobrym sezonie granie w nienaturalnych dla nich warunkach musi być piekielnie trudne. Iga Świątek doświadczyła tego, nie awansowała z grupy. Znow pokazała łzy. I chciałam jej powiedzieć: dzięki Ci, Igo. Twoja ambicja, twoje emocje, twoje łzy przypominają, że sportowcy to tylko ludzie. Sportowcy to aż ludzie. ●

wyborcza

REDAKCJA ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski
ZASTĘPCY: Piotr Ślasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński
SEKRETARZ REDAKCJI: Anna Kwiatkowska
PROJEKT GRAFICZNY: Jacek Utko
PORTRETY AUTORÓW: Agata Marszałek
Prenumerata cyfrowa: pomoc@wyborcza.pl
22 555 54 55, 519 255 455
Kolportaż: Problemy z dostępnością „Wyborczej” lub z właściwą mutacją lokalną, informacje o możliwości kupienia dodatków: (12) 629 53 11, kolportaz@wyborcza.pl

Gazeta Wyborcza w serwisach społecznościowych:
facebook.com/wyborcza, twitter.com/gazeta_wyborcza, instagram.com/gazeta_wyborcza

WYDAWCA

Agora SA, ul. Czerska 8/10,
00-732 Warszawa; NIP: 526-030-56-44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Jerzy B. Wójcik
Zastępcy dyrektora wydawniczego:
Joanna Mosiej-Sitek, Wojciech Bartkowiak
Dyrektor marketingu: Michał Bauer

REKLAMA

Dyrektor sprzedaży: Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DRUK: Agora SA
ISSN 0860-908X
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



• Mistrz sumo Hakuho podczas walki w 2010 r.

FOT. -

Sumo i jego skandale

Wczoraj rozpoczął się szósty, ostatni turniej sumo w 2021 r. I pierwszy od wielu lat, na którym nie powalczy ekstrawagancki – jak na tę dyscyplinę sportu – mistrz wszech czasów.

Rafał Tomański

W Fukuoce, na południowej wyspie Kiusiu, na zawodników czeka Kokusai Center, Arena Narodowa w Japonii ustępująca rozmiarami jedynie hali sumo w Tokio. Może pomieścić 7,5 tysiąca widzów, ale teraz, w czasie pandemii, na trybunach będzie mogła się znaleźć jedynie połowa. Turniej jednak i tak przejdzie do historii. Po raz pierwszy zabraknie w nim mistrza wszech czasów Hakuho, który skończył karierę.

Hakuho to teraz Magaki. Takie imię przyjął człowiek, który jako yokozuna, czyli najwyższy rangą sumita, wychodził na ring nieprzerwanie od 2007 r. 14 lat imponującej kariery przyniosło mu przez ostatnie kilkadziesiąt miesięcy śrubowanie własnych rekordów na przemian z coraz częstszymi kontuzjami. Ostatni turniej przed emeryturą, we wrześniu w Tokio, musiał odpuścić, bo dwóch jego kolegów z tzw. stajni zachorowało na COVID-19. Przedostatnie, lipcowe zawody w Nagoi wygrał w imponującym stylu 15 do 0. Nie przegrał ani razu przez 15 dni walk.

Hakuho się rozpycha

Po ostatnim starciu z Terunofuji, który do ostatniego dnia także pozostawał niepokonany, Hakuho wybuchnął entuzjazmem i sportową złością, jakiej na ringu nie sposób doświadczyć. Każdy zawodnik, nie tylko yokozuna, musi trzymać swoje emocje na wodzy. Niezależnie, czy wygra z łatwością, czy ponieśże widowską porażkę w ważnym momencie, musi mieć tak samo kamienną twarz. Na ringu i poza nim sumo ma być traktowane z szacunkiem, bo to nawet nie tyle sport w naszym rozumieniu, ile shintoistyczna tradycja, rytuał japońskiego systemu wierzeń, który od wieków miał na celu wyganiać złe duchy.

Hakuho tupał w charakterystyczny sposób na ringu i sypał oczyszczającą sól przy każdym wejściu na arenę zmagani (przy okazji sól dezynfekuje obtarcia podczas walki) jak wszyscy, ale czasami cieszył się zbyt wyraźnie. Przynajmniej tak twierdziły władze federacji sumo.

Dla nas, widzów przyzwyczajonych do wyrażania emocji przez sportowców, w krytykowanym przez japońską federację zachowaniu nie byłoby nic nietypowego, ale z punktu widzenia sumo doszło do przekroczenia granic. Co takiego robił Hakuho? Po ostatniej walce wiosennego turnieju w 2019 r. (odbył się w marcu w Osace) zachęcił widzów do popularnego w Japonii rytmicznego klaskania. Brzmi niewinnie, ale zamiast klaskania nazywanego „sanbon jime” widzowie mieli wzniesć okrzyki „banzai” (niech żyje). „Klaskanie miało być później. Hakuho zakłócił kolejność elementów ceremonii” – stwierdziła rada. Mistrzowi dano upomnienie, a szef jego stajni musiał przez trzy miesiące oddawać 10 procent pensji za niedopilnowanie sportowca. Hakuho tłumaczył, że chwila była wyjątkowa, bo za kilka tygodni, z końcem kwietnia 2019 r., na emeryturę odchodził ówczesny cesarz Akihito. „Chciałem dać widzom powód do bardziej wzniosłego pożegnania ery Heisei” – mówił, odnosząc się do nazwy rządów Akihito.

Każdy zawodnik, niezależnie od tego, czy wygra z łatwością, czy ponieśże widowską porażkę w ważnym momencie, musi mieć tak samo kamienną twarz

Podobnie było w listopadzie 2017 r., gdy po zawodach w Fukuoce Hakuho także podrywał tłum do wspólnego skandowania (tym razem już krzycząc „banzai”) na cześć swoich rodaków z Mongolii. Świat japońskiego sumo był wówczas świeżo po skandalu z udziałem innego yokozuny – Harumafuji – który podczas imprezy dotkliwie pobił – ale poza ringiem i różnymi przedmiotami – młodszego rangą Mongoła o imieniu Takanoiwa.

Hakuho twierdził, że chciał przypomnieć widzom, że tych dwóch chwilowo nie ma, i dać sygnał otuchy – jednemu w walce o powrót po infamii, drugiemu w walce o powrót do zdrowia. Dla federacji było to przekroczenie dobrego smaku. Skoro Harumafuji jako wielki mistrz zaatakował poza ringiem innego zawodnika, okrył hańbą świat sumo. Lepiej było o tym nie przypominać.

Działanie Hakuho można tłumaczyć solidarnością z rodakami. On, wspominana dwójka oraz wielu innych mistrzów oraz zawodników niższych rang pochodzi z Mongolii. Po latach popularności sumo, które trwały do lat 80. XX wieku, coraz mniej Japończyków zgłaszało się do stajni. Życie zawodnika to ciężka praca niemal całą dobę, a sama Japonia wkraczała wówczas pomału w czas coraz gorszej koniunktury. Wciąż jednak była atrakcyjna dla Mongolii, narodu przyzwyczajonego od wieków do trudnych warunków i fizycznej rywalizacji. Trend utrzymuje się do dziś, jednak na nowo zaczynają pojawiać się młodzi, zdolni Japończycy.

„Lojalka” mistrza

Takich „wpadek” mistrza wszech czasów Hakuho było kilka i nawet po zakończeniu kariery rada starszych sumo (ciało działające równolegle z federacją) stwierdziła, że jego temperament należy trzymać w ryzach. Hakuho przyjął nowe imię i jako szef własnej stajni Magaki może uczyć kolejne pokolenia, ale musiał podpisać deklarację, że nie zrobi nic, co wykraczałoby poza przyzwoitość i poprawność sportu/rytuału. Fani sumo nie byli przekonani co do słuszności tej decyzji, bowiem dla zawodnika, który osiągnął tak wiele, że jego rekordy pozostaną niepobite przez co najmniej dwie dekady, podpisanie dodatkowej umowy o takiej treści graniczyło z publicznym upokorzeniem.

Hakuho jednak nic sobie z tego nie robił lub przynajmniej teraz zatrzymał emocje wyłącznie dla siebie i podpisał wszystko, co było trzeba. Zgodnie z zasadami jako początkujący trener musi najpierw odbyć służbę jako asystent podczas kilku turniejów. Ubrany inaczej niż zwykle, w dresowe spodnie i zapinaną na suwak bluzę, będzie obecny przy wprowadzaniu zawodników z szatni na ring. Do jego obowiązków będzie należało także udzielanie pierwszej pomocy, jeżeli komuś przydarzy się jakiś uraz. ●

A jednak się kręci

Międzynarodowa wojna o dziecko

Na razie nie wiadomo, kim jest Enes Sali. Na szczęście nastały czasy, w których ustalanie swojej tożsamości może odłożyć na przyszłość.

Stec



Obecnie mieszka w Rumunii i uchodzi za Rumuna, a jego aktualni rodacy wpatrują się w niego urzeczeni, wierząc, że przywróci świetność ich futbolowi, może wręcz spotężnieje na gracza ponad wszystkich na świecie. Urodził się ledwie 15 lat i 8 miesięcy temu, ale już został powołany do seniorskiej reprezentacji kraju. Miał zadebiutować w niedzielny wieczór, podczas spotkania eliminacji mundialu z Liechtensteinem – i zostać najmłodszym piłkarzem, jaki kiedykolwiek wystąpił w nietowarzyskim meczu drużyny narodowej w Europie.

Choć mierzy ledwie 160 cm, z dorosłymi rywalizuje od początku sierpnia, zdążył nawet strzelić debiutanckiego gola w lidze rumuńskiej. Spektakularnego, obwołanego poważną kandydaturą do najładniejszej bramki sezonu, poprzedzonego zainicjowanym na własnej połowie boiska slalomem, w trakcie którego przedrybłował czterech rywali. Naoczni świadkowie pokochali Salego na zabój, a ich emocje dodatkowo rozpałał kontekst, magiczne sceny podziwiali bowiem na stadionie w Konstancy, gdzie urodził się ojciec chłopca – chodził na stadion, okłaskiwał rumuńskiego piłkarza wszech czasów Gheorghe’a Hagię, który również pochodzi z tego leżącego nad Morzem Czarnym miasta. I ganiał tam za piłką na początku kariery, zanim wyruszył na podbój świata – ze Steaua Bukareszt triumfował w Pucharze Europy (szacownym poprzedniku Ligi Mistrzów, to była absolutna sensacja), potem czarował w Realu Madryt i Barcelonie oraz na fantastycznym dla Rumunii mundialu w 1994 r.

Dzisiaj Hagi jest właścicielem i trenerem klubu w Konstancy. To w jego ramiona rzucił się młodziutki Enes Sali, gdy potańczył między rywalami i wycharował pięknego gola. On też wychowywał się w kulcie wybitnego rozgrywanego zwanego niegdyś Maradoną Karpat – on w kółko oglądał podsuwane przez ojca wideo, Rumuni marzą, by wyrósł na Messiego Karpat.

Ich marzenia podszywa jednak niepokój. Bo nie śledzą opowieści lokalnej, lecz globalną, pokręconą, z bohaterami przyzwyczajonymi do tego, że ich życie oplata całą planetę. Enes Sali przyszedł na świat w Toronto, gdzie rodzice wyemigrowali za mieszkającymi w Kanadzie od dekad krewnymi matki, i najpierw trenował w tamtejszym Woodbridge Strikers. Wpadł w oko lowcom talentów współpracującym z Barceloną, poleciał na testy i wywarł wrażenie, więc wraz z ojcem przeprowadził się do Katalonii, podjął treningi w słynnej szkółce, dzisiaj lubi wspominać, że poznał Messiego, Iniestę i Neymara, że dzięki rozmowom z idolami uwierzył w siebie. Spędził tam blisko trzy lata, aż wreszcie zjawił się Hagi, który założył też akademię swojego imienia – jak na rumuńskie standardy ultranowoczesną, wychowującą obecnie 300 juniorów. I chłopiec wrócił do miasta, w którym poznali się rodzice.

Między dorosłych piłkarzy wbiegł w bieżącym sezonie, ale na razie wszystkie mecze rozpoczynał w rezerwie, grywał maksymalnie 45 minut. Do seniorskiej reprezentacji w żadnym razie jeszcze nie dojrzał, lecz trener Mirel Radoi wysłał powołanie z obawy, że Rumunia swój skarb utraci. Według prasy z Salim seniorem kontaktowała się już federacja kanadyjska, grę dla tamtego kraju popiera matka piłkarza, ojciec wypowiada się ostrożnie, nierozstrzygająco, a ponieważ oboje rodzice należą do tureckiej mniejszości, dostępną opcją pozostaje także reprezentowanie jeszcze jednego państwa, futbolowo w gronie zainteresowanych najsilniejszego, którego zamiarów nie ukrywa – zresztą zaproponowanie kontraktu młodzieńcowi rozważa Galatasaray Sztambuł, klub znacznie zamożniejszy niż Farul Konstanca.

Również w futbolu narodowość stała się poniekąd kwestią wyboru, a zwolennicy formułowania sztywnych definicji i wytyczania wyraźnych granic muszą przegrać z rzeczywistością pełną skomplikowanych ludzkich losów i migracji intensywniejszych niż kiedykolwiek wcześniej

Tutaj okoliczności przypominają sytuację znaną nam z przypadku Maty’ego Casha – piłkarza nic nie łączy z Turcją i nie posiada jej paszportu, ale jeśli zechce posiadać, procedura będzie formalnością. Niewykluczone więc, że między federacjami wybuchnie regularna wojna, która może ciągnąć się w nieskończoność, ponieważ po zli-

balizowaniu przepisów przez FIFA zawodnicy przed 21. urodzinami mogą zmienić narodowość po rozegraniu dowolnej liczby meczów międzypaństwowych (byle nie więcej niż trzech nietowarzyskich). Dlatego np. nigeryjskie media długo się łudziły, że przejmą od Niemców nastoletniego napastnika Karima Adeyemiego – nawiasem mówiąc, dzięki pochodzeniu matki mogącemu również grać pod flagą Rumunii.

Słowem, również w futbolu narodowość stała się poniekąd kwestią wyboru, a zwolennicy formułowania sztywnych definicji i wytyczania wyraźnych granic muszą przegrać z rzeczywistością pełną skomplikowanych ludzkich losów i migracji intensywniejszych niż kiedykolwiek wcześniej. Nie sposób wyznaczyć nienaruszalnych kryteriów, według których odróżnimy „zasługującego” na grę dla reprezentacji rodaka od nierodaka i ustalimy, czy bardziej „Polakiem” jest nieznający języka Cash, któremu obywatelstwo według prawa po prostu się należy, czy urodzony na innym kontynencie imigrant, który od lat u nas mieszka, założył rodzinę, wniknął w kulturę i obyczaje.

Kibice z Konstancy i okolic osławiają się z niejednoznacznością świata błyskawicznie, w końcu ostatnio żywiłowo dopingują sensacyjną triumfatorkę tenisowego US Open Emmę Raducanu, czyli reprezentującą Wielką Brytanię córkę Rumuna i Chinki, oraz Biancę Andreescu wywijającą rakietą na chwałę Kanady. A my, Polacy, spieramy się o Casha, zapominając niekiedy o podstawowych obowiązkach selekcjonera drużyny narodowej – Paulo Sousa sprzeniewierzyłby się im, gdyby nie powoływał każdego posiadacza naszego paszportu, który podniesie sportową jakość reprezentacji. ●

Rafał Stec

SPORT W SKRÓCIE

PIĘKA NOŻNA

Walka o mundial

Po zwycięstwie 4:1 w Andorze polska reprezentacja zapewniła sobie udział w barażach eliminacji do mundialu w Katarze w 2022 r. Gole dla Polski strzelali Lewandowski (5., 73.), Józwiak (11.) oraz Milik (45.). Bezpośrednio do finałów awansowała Anglia. Do rozegrania Polakom pozostał jeszcze mecz z Węgrami na Stadionie Narodowym (dziś o 20.45, transmisja w TVP). Selekcjoner Paulo Sousa zdecydował, że w tym meczu nie zagrają Robert Lewandowski i Kamil Glik.

Tabela polskiej grupy

1. Anglia 9 23 29-3
2. Polska 9 20 29-9
3. Albania 9 15 11-12
4. Węgry 9 14 17-12
5. Andora 9 6 8-23
6. San Marino 9 0 1-36

Baraże rozgrywane będą systemem pucharowym. Sześć drużyn, które uzyskały najlepsze wyniki w

eliminacjach, będzie rozstawionych, przy czym kolejność rozstawienia będzie losowa. Do nich zostaną dołosowane pozostałe zespoły z dwunastki. W ten sposób wyznaczone zostaną pary pierwszej rundy oraz możliwe pary drugiej rundy. W każdej rundzie o zwycięstwie zadecyduje tylko jeden mecz. W pierwszej rundzie będzie on rozegrany na terenie drużyny rozstawionej, a w drugiej rundzie miejsca spotkań zostaną wylosowane. O tym, z kim zagra Polska, decydują niedzielne i poniedziałkowe mecze.

wyborcza.pl

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

• Wejdź: [Wyborcza.pl/sport](https://wyborcza.pl/sport)

ZAPISZ SIĘ
NA NEWSLETTER

• [Wyborcza.pl/newslettery](https://wyborcza.pl/newslettery)



Stowarzyszenie

„Łódzkie Hospicjum dla Dzieci – ŁUPKOWA”



ICH LOS

www.lupkowa.org KRS: 0000 159689

KONTO BANKOWE: 64 1240 3060 1111 0000 3452 4833

OGŁOSZENIE BEZPŁATNE 34081000

Hurkacz coraz śmielszy

Hubert Hurkacz przegrał z Daniłem Miedwiediewem 7:6 (5), 3:6, 4:6 w debiucie w turnieju ATP Finals. Ale przy takiej grze awans Polaka do półfinałów nie będzie sensacją.

Marek Deryło

Poprzedni mecz Hubert Hurkacz rozegrał w półfinale turnieju Masters 1000 w Paryżu, a rywalem, który po zaciętym pojedynku go pokonał, był Novak Djoković, lider światowego rankingu. W niedzielę 24-letni Polak w rozgrywkach ATP Finals – przeznaczonych dla ośmiu najlepszych zawodników roku – zmierzył się z Daniłem Miedwiediewem, wiceliderem tabeli najlepszych tenisistów i mistrzem US Open. Rosjaninem, którego pokonał w IV rundzie tegorocznego Wimbledonu, by kilka tygodni później ulec mu minimalnie po trzech setach i dwóch tie-breakach w ćwierćfinale turnieju Masters 1000 w Toronto.

Już taki opis wystarcza, by stwierdzenie, że kariera Hurkacza w tym roku przyspieszyła, uznać za wyjątkowo eufemistyczne. Urodzony we Wrocławiu i mierzący prawie dwa metry wzrostu tenisista z nieporywająco zdolnego juniora stał się wszechstronnym zawodnikiem, który każdy element tenisowej sztuki wykonuje co najmniej dobrze. „Krok po kroku” – napisał, gdy awansował niedawno do pierwszej dziesiątki rankingu ATP. Obecnie jest w nim dziewiąty, a w Turynie gra z numerem siódmym, bo taką lokatę zajął w klasyfikacji obejmującej tylko ten sezon.

Hubert Hurkacz zawodziacki

Pierwszego gema na twardych kortach we włoskiej hali serwujący Hurkacz wygrał do zera, i akurat jego kibice nie mogli zlekceważyć nawet tak pozornie mało istotnego na przestrzeni całego meczu faktu. On bowiem mecze świetne przeplata gorszymi, a czasem też wstydliwymi. A z jakim Hurkaczem akurat mamy do czynienia, to komentatorzy i eksperci rozpoznają często już na początku spotkania – patrzą, jak swobodnie – albo nie – prowadzi rękę, oraz wsłuchują



• **Hubert Hurkacz w meczu z Daniłem Miedwiediewem. Polak zagrał w niedzielę kilkanaście winnerów, niewymuszonych błędów popełnił znacznie mniej**
FOT. LUCA BRUNO / AP

Urodzony we Wrocławiu i mierzący prawie dwa metry tenisista z nieporywająco zdolnego juniora stał się wszechstronnym zawodnikiem, który każdy element tenisowej sztuki wykonuje co najmniej dobrze

się w dźwięk powstający po jego uderzeniach. – Hubert uderza dziś bardzo czysto, jestem dobrej myśli – powiedział na początku paryskiego meczu z Djokovićem Dawid Olejniczak, były tenisista, a obecnie komentator Polsatu. Następnie odsunął ucho od głośnika i patrzył, jak jego prognozy się spełniają. A wcześniejsze mecze Hurkacza we Francji były bardzo nerwowe, wygrywał z trudem z rywalami z szóstej dziesiątki rankingu.

Po ośmiu gemach był remis, nikt nie musiał bronić break-pointów. Hurkacz wyszedł na prowadzenie 5:4 – grał ofensywnie, a na korcie z mistrzem ubiegłorocznego ATP Finals czuł się na tyle pewnie, że gdy sędzia pomylił się na niekorzyść Polaka, ten jeszcze po kilku chwilach artykułował mu swoje pretensje. To niecodzienna zawiadłość w wykonaniu Hurkacza, który normalnie jest uosobieniem grzeczności i skromności (pomogło mu to, gdy na jaw wyszła jego przeprowadzka do Monte Carlo w celach – jak się każdy domyślał – podatkowych; burza po tej wiadomości była krótka i mało jadowita).

Miedwiediew także wygrywał swoje gemy, pierwsza partia rozstrzygnęła się w tie-breaku. Dzięki zwinnej grze przy siatce Hurkacz wygrywał 4:2. Po zmianie stron nasz reprezentant objął prowadzenie 6:2, ale trzy kolejne punkty zdobył Rosjanin. Czwartego setbola jednak nie obronił, Hurkacz wygrał pierwszego seta. Ani mistrz US Open po drugiej stronie kortu, ani mama, tata i siostra na trybunach (których przecież nie wolno zawieść) nie wywoływali u Hurkacza żadnych zakłóceń w tenisowej płynności – 24-latek zagrał kilkanaście winnerów, niewymuszonych

błędów popełnił znacznie mniej. A rok starszy i również prawie dwumetrowy Miedwiediew bynajmniej nie miał fatalnego dnia.

Jeszcze co najmniej dwa mecze Hurkacza

Na początku drugiego seta Polak stracił podanie, rywal wyszedł na prowadzenie 3:0. Zwycięstwa w secie nie wypuścił, wygrał 6:3. Hurkacz zagrywał mniej winnerów, lecz grał co najmniej porządnie.

Znów jednak został przełamany na początku seta. Z przeciwnikiem, który niedawno pokonał w finale US Open Novaka Djokovicia 3:0, stracić serwis to żaden wstyd, ale też strata taka w pojedynku z nim oznacza kłopoty wyjątkowo duże. Rosjanin grał coraz lepiej, serwował, jakby strzelał z karabinu, a Hurkacz zagrywał błyskotliwie już nieco rzadziej.

Po dwugodzinny meczu Miedwiediew wygrał 6:7 (5), 6:3, 6:4.

Przed Polakiem jeszcze co najmniej dwa mecze: z Matteo Berrettinim i Alexandrem Zverevem. Awans do półfinałów uzyska dwóch tenisistów. W drugiej grupie występują Novak Djoković, Stefanos Tsitsipas, Andriej Rublow i Casper Ruud. ●

Koniec marzeń Igi Świątek o półfinale

Placząca w debiucie w WTA Finals Polka bynajmniej się nie rozspala. Z Aryną Sabalenką rozegrała dobre spotkanie, przegrała minimalnie 6:2, 2:6, 5:7. Nie ma już szans na awans do półfinału.

Placz Igi Świątek z czwartkowego meczu z Marią Sakkari w debiucie w WTA Finals był najbardziej niepokojący spośród dotychczasowych wybuchów emocji 20-letniej Polki. W odróżnieniu od poprzednich ten był już złowróżbny.

Wielominutowe ocieranie łez po olimpijskiej porażce w II rundzie nie było czymś nienormalnym, również sportowcy znacznie starsi od Świątek płaczą po porażkach, a dla niej – mówiła o tym – złoto tamtego turnieju znaczyłoby więcej niż zwycięstwo na kortach Rolanda Garrosa. Gdy kilka tygodni później roz-

plakała się podczas meczu na US Open, to też dało się wepchnąć tę sytuację w zbiór tego, co w sporcie niezrozumiałe.

W meczu z Marią Sakkari Świątek odwróciła się plecami do kortu, nie reagowała na wezwania sędziego, i wszystko to przed ostatnią akcją, gdy była już pewna przegranej, przeciwniczka miała trzy piłki meczowe z rzędu. Polka nie potrafiła poczekać na koniec spotkania, nie wytrzymała minuty lub dwóch.

Trzeci w tak krótkim czasie wybuch emocji wywołał mocną reakcję polskiego świata sportu – jedna z bardzo znanych osób w polskim tenisowym świecie sugerowała również Polce zmianę trenera na takiego, który przeżył w tenisie więcej niż 29-letni Piotr Sierżputowski.

Zaczęło się więc od trzęsienia ziemi, a zbliżał się mecz z Aryną Sabalenką, 23-letnią Białorusinką rozsta-

wioną w Guadalajarze z numerem pierwszym (nie gra w Meksyku notowana wyżej Ashleigh Barty). Sabalenka musiała podejść do starcia ze Świątek (nr 5 w turnieju) maksymalnie zmotywowana, bo przegrała pierwszy mecz, a dwie porażki nie zawsze kończą się awansem z czteroosobowej grupy.

Świątek dowiedziała się przed meczem – gdy Paula Badosa pokonała Marię Sakkari – że ona z dwiema porażkami na pewno nie wyjdzie z grupy. Musiała wygrać z Sabalenką. Ze spokojem, skoncentrowana, a jednocześnie swobodna zaczęła ten plan realizować.

Pierwszą partię nasza reprezentantka wygrała 6:2. Pierwszym serwisem trafiała w kort częściej od niestabilnie grającej Białorusinki, która po drugim podaniu zdobyła tylko dwa z 14 możliwych do zdobycia punktów. W drugim secie Sabalenka

jednak złapała rytm własnego podania i to zwiastowało kłopoty Świątek, bo Białorusinka z linii serwisowej potrafi bić naprawdę mocno. Przeszła do ofensywy, wygrała 6:2.

Decydujący set trwał godzinę i trzy minuty. Sabalenka nie zwalniała ręki mimo kolejnych podwójnych błędów serwisowych (dwieć w jednym secie!), to ona była stroną prowadzącą grę. Świątek mimo nietypowej dla siebie sytuacji – przyznaje, że lubi narzucać swój

Sabalenka nie zwalniała ręki mimo kolejnych podwójnych błędów serwisowych, to ona była stroną prowadzącą grę

ofensywny styl – utrzymywała dużą szansę na pokonanie wysoko notowanej przeciwniczki.

Gdy w pierwszej połowie trzeciej partii została przełamana, od razu zabrała serwis Sabalence. Grały znakomicie gem za gem do stanu 5:5. Wtedy urodzona w Mińsku 23-latką wyszła na prowadzenie 30:0 i choć Polka zdobyła następnie trzy punkty z rzędu, to chwilę później nastąpiło przełamanie. „Swojego” gema Sabalenka wygrała gładko, do zera.

Mecz trwał dwie godziny i 20 minut. Iga Świątek, która tak szybko poradziła sobie z nieledwie traumatycznym starciem z Sakkari, straciła szansę na awans do półfinału i spotkaniem z Paulą Badosą pożegna się z Guadalajarą. Hiszpanka ma już zapewnione pierwsze miejsce w grupie, o drugie powalczą Sabalenka i Sakkari. ●

Marek Deryło